



<http://www.digitallibrary.org>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

NA WODACH.

Komedya współczesna w 5-iu aktach,

przez

BRONISŁAWA GRABOWSKIEGO.



WARSZAWA

1877.



INSTYTUT
FIZYKI PAN

ul. Pasteura 44
00-908 Warszawa

Tel. 26-63-53, 26-52-31 w. 42

973

<http://rcin.org.pl>

O S O B Y:

BARONOWA MOŚCIWIŃSKA, obywatelka ziemska.

BARON MICHAŁ MOŚCIWIŃSKI, jej syn.

KSIĘŻNA STANISŁAWA PODHORSKA, jej siostrzenica.

EUGENIUSZ MILAŃSKI, brat księżnej.

MARSZAŁKOWA JAGNICZOWA.

SZOŁECKA, właścicielka kilku kamienic w wielkiem mieście.

HRABIA STEFAN ZAKISZNICKI.

PUŁKOWNIK SZPELUNG.

ALFONS BOŃCEWICZ.

KAROL KRZEPIŃSKI.

JULIAN OLCHOWSKI.

} Obywatele ziemscy.

WŁADYSŁAW BRATANICZ, technolog.

CZESŁAW DZIĘBA, muzyk.

LATICZEK, komisarz policyjny.

Garson, Żandarm, Lokaj hrabiego, Góral, Goście bawiący u wód.

Rzecz dzieje się na wodach.

AKT I.

(Scena przedstawia rodzaj parku, rzadko drzewami porośłego—w głębi krajobraz górski, kilka domów szwajcarskich—na prawo front domku szwajcarskiego z obszernym gankiem, na którym stoją dwa stoliki i kilka krzesetek—nad gankiem napis: *Hôtel et Café Restaurant*—na lewo ławeczka. Przy jednym ze stolików siedzi Czesław, przed nim gazety i lista).

SCENA I.

CZESŁAW (*sam*).

Być albo nie być?... dać koncert, albo też pogapiwszy się trochę na ludzi i widoki, połaziwszy po górach, zabrać skrzypki pod pachę i ruszać dalej? To, com wczoraj widział, wcale mi ochoty nie dodaje. *Inter arma silent musae*. Gdzie się na zielonym stoliku potykają, tam nie ma czasu słuchać wędrownych trubadurów (*bierze listę do ręki*). Lista gości (*z naciskiem*) kąpielowych. Jesteśmy w Galicyi, w ziemi dziwołagów językowych i społecznych. (*czyta*) Hrabia... hrabia... hrabia... baron, fi, co tu panów, protektorów sztuki!... ale jakiej? A, są i nie hrabiowie, Julian Olchowski obywatel ziemski, to mój szkolny kolega — Władysław Bratanicz... i to także kolega, (*czyta pytającym tonem*) były dyrektor fabryki? Zdaje mi się, że to oni nadchodzą. (*Z lewej strony wchodzi Władysław i Julian*).

SCENA II.

CZESŁAW, JULIAN i WŁADYSŁAW.

CZESŁAW. Rzeczywiście. (*wstaje i idzie na-
przeciw idących*) Jak się macie koledzy?

WŁADYSŁAW. Patrz Julku — Czesław.

JULIAN. Dawno niewidziany. Skądęś się
tu wziął, stary druhu?

CZESŁAW. Przyjechałem onegdaj. Wła-
śnie zobaczyłem was na liście. Władysła-
wie, z kąd u ciebie znalazło się to małe *b.*
przy nazwie dyrektora fabryki?

WŁADYSŁAW. Dostałem dymisyę z prawem
noszenia tytułu, rozumie się z dodatkiem
były. Nie chełpiłbym się nim, ale zarząd
zdrojowy na prostem imieniu i nazwisku po-
przestać nie raczy.

JULIAN. To cała historia, — mówiąc mię-
dzy nami — dobrze o Władysławie świad-
cząca.

WŁADYSŁAW. Eh, dajże pokój!

CZESŁAW. Opowiedz ją Julku.

JULIAN. Władysław, jak wiesz, zaczął pra-
cować w znacznej fabryce, gdzie wkrótce zo-
stał dyrektorem. Prowadził fabrykę wzoro-
wo, bez zarzutu, ale...

CZESŁAW (*śmiejąc się*). A więc był zarzut?

JULIAN. I wielki w oczach właścicieli. —
Nasz dyrektor zanadto myślał o tych pod-

rzędnych kółkach w maszynie, co się robotnikami zowią. W licho, na spekulacyę skleconym gmachu, robotnikom było ciasno, brakowało powietrza, światła. Władysław dopominał się o przerobienie gmachu, reformy przez wzgląd na pracujących, polepszenia ich bytu, a gdy niczego dopiąć nie zdołał, uklonił się pracodawcom i opuścił fabrykę.

CZESŁAW. Właściwie to ostatnie robotnikom ulgi nie przyniosło.

JULIAN. Mylisz się. Władysław odwołał się do opinii publicznej—w gazetach toczyła się zacięta polemika, osypywano go obelgami, nawet denuncyacją jego wystąpienie nazwano, ale dowody i rozumowania jego zwróciły uwagę władzy i wyższa interwencya zmusiła właścicieli do tego, czego dobrowolnie zrobić nie chcieli.

CZESŁAW. No, a teraz, Władysławie, co porabiasz?

WŁADYSŁAW. Mimo mej woli przyszedł na mnie dzień siódmy i — założyłem ręce. Julek namówił mię do podróży ze sobą i tu niespodzianie kręcę się między ludźmi, obcy mi dla mnie i z przekonań i z nawyknień.

JULIAN. Musisz odpocząć po tych wszystkich przejściach, rozerwać się i zabawić!

WŁADYSŁAW. Czem?

JULIAN. Choćby głupstwami ludzkiemi.

Tylko, na Boga, nie noś ciągle tego marsa na czole — tego wyrazu niemej opozycyi — wyglądasz, jakbyś chciał całemu towarzystwu dać votum nieufności.

WŁADYSŁAW. Przebacz — przyklaskiwać mu nie mogę.

JULIAN. Nie myśl, bym i ja przyklaskiwał. Jeśli była we mnie choć szczypta szlachectwa, ta w płomieniu uniwersyteckiej nauki, w towarzystwie koleżeńskim wypaliła się do cna. Myślę tak jak ty — jak ty patrzę na świat i ludzi. Ale ja lubię śmiać się z tego, co potępiam.

WŁADYSŁAW. Niebezpieczna zabawka.

JULIAN. Cóż Czesiu, — nie dasz tutaj koncertu?

CZESŁAW. Chciałbym, tylko...

WŁADYSŁAW. Tylko co?...

CZESŁAW. Boję się, by mi nie przyszło grać przed pustymi ławkami.

WŁADYSŁAW. Tobie? artyście z taką sławą?

JULIAN. Zkąd ci to mogło przyjść do głowy?

CZESŁAW. Zdaje mi się, iż tu kwitnie sztuka, przy której inne milczeć muszą.

JULIAN. Jakaż to sztuka?

CZESŁAW. Gra w karty. Zwolennicy jej

nie poszliby na koncert, bo by im jeden (z naciskiem) drogi wieczór o kilka godzin skrócił.

JULIAN. Na wodach to rzecznieunikniona. Ale nie sądz, by tu kwitła szulerka z rzemiosła.

CZESŁAW. Napotkałem w liście trochę podejrzane pod tym względem nazwiska.

JULIAN. Czyje?

CZESŁAW. Naprzykład niejakiego Zakisznickiego.

JULIAN. Ty znasz hrabiego?

CZESŁAW. Osobiście nie—ale dosyć o nim słyszałem.

JULIAN. Ciekawym bardzo, co takiego?

CZESŁAW. Różne różności — między innymi powiadano, że hrabią mianował się sam, a tytuł zatwierdziła mu prześwietna heroldya kelnerów i garsonów. Człowiek ten ma posiadać rozległe stosunki; zna podobno arystokrację całego świata—dzięki sile wyobraźni—a jak najpoufalej żyje z królami, wszystkimi czterema, co są w talii. Dobra hrabiego wielce intratne, lubo niewiele przetrzeni zajmują, zmieszczą się w jednej kieszeni — zawsze pracą zajęty i tu pewno także swoje czteropolowe, — chciałem powiedzieć cztero-kolorowe gospodarstwo prowadzi.

WŁADYSŁAW. Czyś ty go widział kiedy, Czesiu?

CZESŁAW. Zdaje mi się, iż to był ten sam, co wczoraj tutaj siedział pod werandą—człowiek średnich lat, z wąsikami, bródką i podpuchłymi oczyma. Ogrywał w pikietę jakiegoś młodzika, zaręczając biedakowi, iż gra przewybornie, tylko mu karta nie idzie. Oskubywany kogucik miał zadowoloną minę, choć mu ciągle banknocików ubywało, widać cieszył się w duszy, iż sam Zakisznicki tak znakomitą zaletę mu przyznaje.

JULIAN. Czy nie słyszałeś czego o towarzyszcu hrabiego, pułkowniku Szpelungu?

CZESŁAW. Owszem i o nim coś mówiono.

JULIAN. To może wiesz, gdzie się ten człowiek takiego stopnia dosłużył?

CZESŁAW. Podobno pod sztandarami króla żołędniego. Przed dziesięciu laty na zielonem bojowisku mianowano go majorem, a nominacyi dopełniło grono szulerów, — mieli oni w tem wyrachowanie, bo dodaje to szyku i honoru, gdy w towarzystwie zasłużony wojak się znajduje. Przez dziesięć lat człowiek ów codzien zwycięzko się potyka, nic dziwnego, że awansować musiał.

WŁADYSŁAW. A czy wiesz, Czesiu, że ludzie ci używają tutaj pewnego nawet znaczenia?

CZESŁAW. Być może. Zresztą mówię o tem ze słyszenia tylko.

JULIAN. Powiedz mi, od kogoś słyszał to wszystko?

CZESŁAW. Od ludzi po świecie.

JULIAN. Ależ...

CZESŁAW. Ba, widzę macie ochotę wziąć mnie na badanie — muszę zmykać. Addio signori miei (*ktania się z komicznym giestem i wybiega na prawo*).

SCENA III.

JULIAN. i WŁADYSŁAW.

JULIAN. A więc to lepsze ptaszki, niż się spodziewałem — wiesz, miałbym wielką ochotę... (*zamysła się*).

WŁADYSŁAW. Cóż takiego?

JULIAN. Wypłatać im jakiego porządnego figla.

WŁADYSŁAW. Daj pokój — narazisz się.

JULIAN. Mój drogi, jeśli puszczę fajerwerk to tak, by nikt ręki maszynisty nie dojrzał.

WŁADYSŁAW. Z żartami ostrożnie — jak z prochem — czasem strzał może dotknąć kogoś więcej, niż tego, do którego jest wymierzony.

JULIAN. A choćby — wielka historia — cóż się tak o tych ludzi troszczysz? Aha, idzie ci o jedną osobkę — ale nie lękaj się, ona o sto mil od celu.

WŁADYSŁAW. O kogóż to?

JULIAN (*patrząc badawczo w oczy Władysława*). Rozumie się, o księżną (*Władysław wzrusza ramionami*) Ty, zacny demokrato, jesteś coś bardzo dla niej. . . względny. A przecież to arystokratka czystej wody.

WŁADYSŁAW. Prawda, ale księżna nie należy do rodzaju tych smoków z bazyliškowym wzrokiem, co pilnują skarbów bezpożytecznych, bo zbutwiałyich już do cna. Jest ona raczej rusałką, stojącą na progu wspomnień przeszłości — piękną, uroczystą jak one, a smutną jak ta zasłona, która coraz ciemniej na owe wspomnienia się nasuwa.

JULIAN. Rzeczywiście to kobieta młoda jeszcze, bogata, piękna, no, wdowa wprawdzie, ale po mężu, którego strata nie mogła ją tak bardzo o rozpacz przyprawić—trudno pojąć, dlaczego ten wyraz smętnej powagi uporczywie gości na jej twarzy.

WŁADYSŁAW. Widzisz, tłumy coraz dalej odchodzą od jej krainy i nie oglądają się nawet — więc smutno jej na świecie.

JULIAN. Dyrektorze fabryki, poetyzujesz. Nie chcę cię badać, ale... ale w twoim stosunku do księżnej jest coś...

WŁADYSŁAW. Cóż więcej aniżeli myślisz—cała powieść w przeszłości. Z czasem ci ją opowiem. (*Julian zamysła się*). Budzę cię — o czym to?

JULIAN. Nie mogę przypomnieć sobie nazwiska tego faceta, co to w pobliskim miasteczku do nas się przyczepił.

WŁADYSŁAW. Którego?

JULIAN. Nie pamiętasz? Zabawny homo — zachwalał restauracyę, którą ma tam otworzyć i rozdawał bilety swoje z francuzkim napisem.

WŁADYSŁAW. Przecież jeden bilet i tobie się dostał.

JULIAN. A prawda, mam go gdzieś u siebie. Muszę go poszukać. Do widzenia. A opowieść twoję zamawiam sobie na popołudniu, *(wychodzi na lewo)*.

WŁADYSŁAW. Do widzenia. *(wychodzi na prawo — z lewej strony wchodzi Baronowa i Szołecka, kobieta dość podeszła, przesadnie i bez gustu ubrana, Baronowa nieco młodsza, na ubiorze jej znać pretensjonalność i skąpstwo — obie mają kufelki od wód w ręku. Po wejściu siadają na ławce)*.

SCENA IV.

BARONOWA i SZOŁECKA.

BARONOWA. Powiadam pani, że to jest jedna z przykrości na wodach, a przede wszystkim na naszych wodach, że nigdy towarzystwo nie obejdzie się bez jakichś... figur. wciskających się do znajomości... a w każdym razie niekoniecznie odpowiednich.

SZOŁECKA. Eh, proszę pani baronowej, takie znajomości do niczego nie zobowiązują.

BARONOWA. Nie zawsze — mnie przynajmniej doświadczenie pod tym względem ostrożności nauczyło. Przed dwoma laty byłam z *Michelem* w Kreuznach. Przyjechaliśmy w takiej chwili, gdy ani jednej osoby z *towarzystwa* nie było — nudy — szalone nudy. Obok nas mieszkała jakaś jejmość z Warszawy, *une demi—juive*, miała córeczkę tak sobie — dość niebrzydką, — panowie utrzymywali, że podobna do jakiegoś obrazu Greza w Luwrze. Ichmoście te gwałtem naszej znajomości się dobijały — pojmuje pani, sąsiedztwo — trudno z mieszkania swego zrobić *une forteresse*, zresztą przy natarczywości tych pań i toby się na nic nie zdało.

SZOŁECKA. Tego rodzaju osoby bywają wytrwale w natręctwie.

BARONOWA. Pojmuje pani, jednym słowem, znajomość — one odwiedzają nas prawie codzień, my... raz na tydzień. Trochę to rozrywało *Michela*. Wracamy do domu; potem wyjechaliśmy na początku jesieni do Warszawy i na pierwszym kroku spotykamy *notre juive* z córeczką. Biegną przez środek ulicy ku nam, — witają z dziwnie poufałą serdecznością i póty męczą, póki nie napotkaliśmy panów z naszych okolic. Jasna rzecz, zaintrygowała ich ta nowa znajomość nasza —

wypytuja, kto to taki — daremnie im przekładam, że to *une connaissance des eaux*—musiałam sobie głowę łamać i przypominać nazwisko.

SZOŁECKA. Byli ciekawi, bo pewnie ich panienska w oczy uderzyła.

BARONOWA. *Fi donc*—nie sędzę—*méchants* chcieli mnie niezawodnie za podobnego rodzaju znanomość ukarać.

SZOŁECKA. Rzeczywiście — to niebardzo przyjemne.

BARONOWA. Jak uważam — i tutaj jakiś *sans façons* między nami się kręci.

SZOŁECKA. Który to, proszę pani baronowej?

BARONOWA. Ten, ten — prawdziwie nie wiem nazwiska, — widzi pani, jak mię podobni ludzie mało obchodzą — ten, ten....
(z *uśmiechem*) satelita pana Olchowskiego.

SZOŁECKA. Ah, były dyrektor fabryki. — Nie mam zwyczaju mówić źle o ludziach, ale ten jegomość podejrzanym mi się wydaje.

BARONOWA. Czy tak?

SZOŁECKA. Nagrabił widać pieniędzy, będąc w fabryce i teraz chciałby się w pana zabawić. Nie przypominam sobie dokładnie, ale coś o tym jegomości w gazetach bardzo się rozpisywano.

BARONOWA. Mniej więcej co takiego?

SZOŁECKA. Cós źle zbudował, robotnicy na tem cierpieli, aż śledztwo na niego zjeżdżało. Jest to w tych gazetach, które z sobą przywiozłam. (*Z prawej strony wchodzi Michał w lekkim ubraniu, kapeluszu słomkowym, z kufelkiem w ręku*).

SCENA V.

BARONOWA, SZOŁECKA i MICHAŁ.

MICHAŁ. *Bon jour, madame.*

SZOŁECKA. Dzieńdobry, myślałam, że pan baron jest na wycieczce.

MICHAŁ. Byłem, ale wróciłem — *c'est trop fatigant pour moi* drapać się po tych górach.

SZOŁECKA. Nie rozumiem, co to za przyjemność godzinę lub więcej wchodzić na wysoką górę, aby zobaczyć... jeszcze wyższą górę. Mnie tam na takie przyjemności nie skusi.

BARONOWA. Ani mnie. Ale tak mi się na przykrzano, abym *Michela* na wycieczkę puściła—zwłaszcza siostrzenica moja, księżna Podhorska. Księżna lubi towarzystwo *Michela*. (*Za sceną słychać kilkakrotny trzask z bicia*).

MICHAŁ. Zdaje mi się, że już wracają. (*nasadza binokle i idzie w głąb sceny*).

BARONOWA (*ciszej do Soteckiej*). Właściwie jestem mocno zadowolniona, że prędzej powrócił. *Michel* jest moralnie wychowany, a ci

panowie mogą mu jeszcze coś takiego powiedzieć...

SZOŁECKA. Prawda — prawda.

BARONOWA. Na wycieczkach zwykle większa panuje swoboda — i pewna jestem, że marszałkowa, która lubi zapominać, że jest mężatką, nie zaniedba z niej w pełnej mierze skorzystać.

SZOŁECKA. Dla marszałkowej trzeba być trochę pobłażliwym — kobieta młoda, przystojna — otoczona tysiącem pokus — młodzież zewsząd do niej się ciśnie.

BARONOWA. Trzeba opierać się pokusom... surowa moralność, oparta na ścisłym pojęciu honoru... bo rzeczywiście, czemużbyśmy różnili się od kast niższych?

SZOŁECKA. Prawda, prawda — zresztą cóż za dziwna przyjemność kokietować mężczyzn? (*z głębi wchodzi księżna*).

SCENA VI.

CIŻ I KSIĘŻNA.

KSIĘŻNA (*do Michała*). A wiesz co, kuzynku, że to przechodzi wszelkie granice?

BARONOWA. *Bon jour, princesse* — cóż się stało?

KSIĘŻNA. Ciocia jeszcze pyta?

BARONOWA. *Mais naturellement...*

KSIEŻNA. Dla czego Michał nie powrócił razem ze wszystkimi? (*siada obok Szoteckiej i wita się z nią*).

MICHAŁ. Ja... ja... nie mogłem.

BARONOWA. *Michel* był zmęczony — chodzenie po górach bardzo go utrudza — dobrze robi, że się oszczędza.

KSIEŻNA. I żeby przynajmniej komu choć słówko powiedział — ale znika naraz — my oglądamy się, wołamy — zamiast iść na górę, przeszło godzinę szukamy go po lesie, jak szpilki. W dodatku zabrał sobie najlepszą furmankę.

BARONOWA. Daruj, *princesse*, piechotą przecież nie mógł powracać.

MICHAŁ. *Ma chère cousine* — nie mogłem wracać piechotą — byłem zmęczony.

KSIEŻNA. Alez...

SZOŁECKA. Księżna za bardzo bierze do serca ten wypadek.

KSIEŻNA. Bo na dobitkę sama wyciągnęłam Michała — choć trzeba ci przyznać, kuzynku, że nie jesteś zbyt przyjemny w towarzystwie. Chciałam, żebyś się trochę rozruszał. Rzeczywiście to niepięknie, że człowiek młody, niebardzo chory — chodzi jak starzec przygnębiony latami.

BARONOWA. *Mais princesse...*

KSIEŻNA. Całe towarzystwo mocno na ciebie obrażone — popsuleś nam zabawę. Naj-

więcej gniewa się marszałkowa, która urządziła wycieczkę — mówi, że takiemu młodzikowi, jak ty, należałaby się dobra nauka.

BARONOWA. Proszę? marszałkowa? Już jeżeli się komu *une leçon* należy... (z głębi wchodzi pułkownik, Alfons i zbliżają się do baronowej).

SCENA VII.

CIŻ, PUŁKOWNIK i ALFONS.

PUŁKOWNIK. Całuję rączki pani baronowej. Pani daruje, że może niezbyt miłym będę posłem.

BARONOWA. *Bon jour, monsieur le colonel.* Przestraszasz mię pan.

PUŁKOWNIK. Właściwie nie ma żadnego powodu do przestraschu—zresztą moje poselstwo tyczy się wyłącznie pana barona.

MICHAŁ (*przerażony*). Mnie... mnie?...

PUŁKOWNIK. No i pan nie masz czego się przerażać. Jest to sprawa honcrowska, a sprawa taka nigdy człowieka dobrego rodu przerażać nie może.

BARONOWA. O cóż to idzie, pułkowniku?

PUŁKOWNIK. Przychodzę w imieniu hrabiego Zakisznickiego żądać satysfakcyi honorowej od pana barona.

BARONOWA. Satysfakcyi? co to znaczy?

MICHAŁ. Satysfakcyi? jakiej satysfakcyi?

PULKOWNIK. To jest, tłumacząc się jaśniej, przyszedłem w imieniu hrabiego Zakisznickiego wyzwać na pojedynek pana barona.

BARONOWA. Na pojedynek? za co? cóż takiego mój syn zrobił hrabiemu?

MICHAŁ. Cóżem ja zrobił hrabiemu?

PULKOWNIK. Właściwie hrabia ujmuje się za obrazę, całemu towarzystwu wyrządzoną.

BARONOWA. Ależ, mój syn nikogo obrażać nie myślał.

MICHAŁ. Ja wcale obrażać nie myślałem.

KSIĘŻNA (*do Szoldeckiej*). Co to ma znaczyć—to chyba żart?

SZOŁECKA. Nie wiem—zobaczymy.

PULKOWNIK. Pan baron tak lekko brał sobie zabawę i przyjemność całego towarzystwa, że bez żadnego skrupułu zniweczył wszystkie plany, porzucając je bez powodu i w niestosownej chwili.

MICHAŁ. Byłem bardzo zmęczony—musiałem wracać do mamy.

BARONOWA. Mój syn był bardzo zmęczony.

PULKOWNIK. Pan baron, dbając tylko o własną wygodę, zabrał najlepszą furmankę, a nadto nie uważał za stosowne uwiadomić o swym odjeździe. Jednem słowem, pan baron najotwarciej zmanifestował uczucie lekceważenia dla reszty towarzystwa.

BARONOWA. Jeżeli hrabia czuje się obrażonym, mój syn gotów przeprosić — nie lekceważy się przecież dobrego towarzystwa.

MICHAŁ. Ja przeproszę, bo przecież nie lekceważy się dobrego towarzystwa.

PULKOWNIK. Macie państwo najzupełniejszą słuszność — nie lekceważy się dobrego towarzystwa. Lekceważenie okazane musi być koniecznie zatarte... honorową satysfakcją. W imieniu więc hrabiego, żądam satysfakcyi od pana barona.

BARONOWA. Panowie z nim chcą się strzelać, a on nigdy jeszcze broni palnej nie miał w ręku.

MICHAŁ. Ja nigdy broni palnej nie miałem w ręku — ja przeproszę.

PULKOWNIK. Źle pani baronowa robiła, że syna swego nie przyuczyła do władania bronią palną — potomek rycerskiego rodu powinien był młodość na rycerskich spędzić ćwiczeniach.

BARONOWA. Ah, pułkowniku — dziś zapóźno ubolewać nad tem, co się stało, ale... tyle już było wypadków z bronią ognistą. Wszak słyszałeś pan, jak niedawno pewien bogaty hrabia własną fuzyą oko sobie wystrzelił. Jakiż to okropny wynalazek! Zabija nie tylko tego, do którego strzelają, ale i tego, który strzela. Oh, ludzkość musi kiedyś używanie broni palnej całkiem zarzucić.

PUŁKOWNIK. Jeśli pan baron nie włada pistoletami, to może obrać sobie inną broń: szpadę, pałasz—choć niebiegły z niego strzelec, to w każdym razie może szermierz niepospolity.

MICHAŁ. Ja nie jestem szermierz — ja nie umiem bić się na szpady — mama mi nawet nigdy scyzoryka do ręki nie dawała, żebym się nie skaleczył—ja przepraszę.

BARONOWA. Otóż to są skutki wód krajowych; zamiast odzyskać zdrowie, można tu życie utracić. Panie Alfonsie!

ALFONS. Pani baronowa sobie życzy, bym sekundował panu Michałowi?

BARONOWA. Niech Bóg broni — liczę na przyjaźń pańską, że nie dopuścisz do pojedynku. Byłoby to okropne.

ALFONS. Ja nie wiem... bo to z legalnego punktu...

BARONOWA. Błagam pana — idź, staraj się ułagodzić hrabiego, powiedz mu, że mój syn gotów go przeprosić — wszystkich panów — marszałkową — dać wszelką satysfakcją — byleby nie było pojedynku. *(z głębi wchodzi Eugeniusz, przystojny młodzieniec; w ruchach pewność siebie i trochę lekkomyślności).*

SCENA VIII.

CIŻ i EUGENIUSZ.

BARONOWA. Czy słyszałeś, Eugeniuszu, co się stało?

EUGENIUSZ. Wiem — marszałkowa śmiertelnie obrażona na *Michela*, prosiła hrabiego, aby dał mu zasłużoną nauczkę.

BARONOWA. *Michel* czuje, że źle postąpił — gotów przeprosić...

EUGENIUSZ. Marszałkowa jest bardzo obrażoną (*znacząco*) i nie z tego tylko jednego powodu — wątpię, czy się da przeprosić, a inaczej hrabia ustąpić nie może.

BARONOWA. Boże, cóż za okrucieństwo! Czyż podobna zaraz strzelać się za taką drobnostkę?

MICHAŁ. Ja przeproszę za tę drobnostkę.

BARONOWA. *Taisez-vous Michel*. Pułkowniku, sam pomyśl, czy godzi się za tak blachą rzecz karać takiego młodego, delikatnego chłopca kalectwem, może na całe życie.

PULKOWNIK. W rzeczach honoru nie ma drobnostek.

EUGENIUSZ. O kalectwo można być spokojnym — tego Michałowi Zakisznicki oszczędzi; strzela on tak dobrze, iż z pewnością przeciwnika na miejscu położy.

ALFONS. Radziłbym panu baronowi, by niezwłocznie zaczął wprawiać się w strzelanie do celu—ma pierwszy strzał, jako wyzwany, może więc wszystko odrazu zakończyć, ale jeżeli chybi, do powtórnego nabicia pistoletów nie przyjdzie.

MICHAŁ. Ja nigdy jeszcze pistoletów wręku nie miałem — ja się strzelać nie nauczę.

BARONOWA. Panowie nie powinniście dopuszczać do pojedynku — Eugeniuszu, wdaj się w tę sprawę—przecież idzie tu o twego ciotecznego brata.

EUGENIUSZ. Tem więcej takt nakazuje mi trzymać się na uboczu.

BARONOWA. *Michel, nous irons chez madame la maréchale. (ktania się i wychodzi na lewo z Michałem — za nimi wychodzi Szotecka, kłaniając się komicznie).*

PULKOWNIK. Spełniliśmy nasze zadanie. Moje uszanowanie księżnej pani.

ALFONS. *Adieu, princesse. (wychodzą)*

SCENA IX.

KSIĘŻNA i EUGENIUSZ.

KSIĘŻNA. Co to ma wszystko znaczyć, Genciu?

EUGENIUSZ. Rozumie się, że to żart tylko.

KSIĘŻNA. Żart zbyt bolesny.

EUGENIUSZ. Nic nie szkodzi, że się pani baronowa trochę pomartwi o swego kanaczka, w którym sama wychowała rzadki okaz niedołągi i idioty. Przyznam ci się, że gdyby to nie była moja ciotka, sam poprowadziłbym komedią — i to może bezlitośniej jeszcze. Wszystko to jest małym odwetem za plotki o marszałkowej.

KSIEŻNA. Ciotka widzi to, co inni dostrzegają i o czem mówią śmiało.

EUGENIUSZ. Niech sobie *canaille* bawi się dopatrywaniem w nas różnych wad i złośliwemi po kątach szeptami, które nas nie dochodzą. My przynajmniej powinniśmy się wzajemnie szanować — a nasza pani ciotka nicuje osoby towarzystwa, jakby jaka kumoszka z przedmieścia.

KSIEŻNA. Czy i marszałkowa pragnie tej drobnostkowej zemsty? Mam coraz gorsze wyobrażenie o tej kobiecie, bo doprawdy jest kokietką i lekkomyślnicą.

EUGENIUSZ. Więc i tyś się zaściankową moralnością nieocenionej ciotuni zaraziła. Strzeż się, bo baronowa ma oudowną moc ogłupienia wszystkich, co się jej wpływowi poddadzą — dowodem własny synalek. Marszałkowa jest jedyna kobieta tutaj na wodach, której towarzystwo ma jakiś powab dla młodego człowieka — rozumie się, jeśli nie został wychowany w tak surowej cnotcie i karności jak *Michel*.

KSIEŻNA. W każdym razie, Genciu, postaraj się położyć koniec temu żartowi, bo nas kompromituje.

EUGENIUSZ. Kompromituje?

KSIEŻNA. Jesteśmy na wodach, nie sami—wszyscy mają na nas oczy zwrócone.

EUGENIUSZ. Jeśli gramy komedię, to dla naszej własnej przyjemności—i mało nas to obchodzi, czy widz paradyzowy gwizdże, czy też przyklaskuje. Zresztą pomów sama z Zakisznickim.

KSIEŻNA (*oburzona*). Z Zakisznickim?

EUGENIUSZ. Ma on dla ciebie wielki... szacunek.

KSIEŻNA. Nie żądaj tego odemnie — czuję nawet pewien wstręt do hrabiego i boli mnie, że wiążesz się z nim taką przyjaźnią.

EUGENIUSZ. Czegóż ty chcesz od niego.— Człowiek dobrego rodu — wprawdzie jego tytuł nie taki wysoki i stary jak twój; ale trudno — u nas wszystkie hrabiowstwa są świeże. Zakisznicki jest nieoceniony w towarzystwie, bez niego nie wytrzymałibyśmy na tej pustyni.

KSIEŻNA. W żadnym razie z hrabią mówić nie będę—a jeśli ty nie wdasz się w tę sprawę i nie zapobiegiesz dalszemu rozwojowi żartów, muszę poprosić o to kogo innego.

EUGENIUSZ. Kogóż naprzykład? Czy nie pana Bratanicza?

KSIEŻNA. Choćby i jego.

EUGENIUSZ (*z lekkim szyderstwem*). Nie wątpię, że sumiennie wypełni twoje zlecenie. (*wychodzą na lewo, z prawej przeze drzwi domku wchodzi Putkownik i Karol, za nimi garson wnosi stolik do kart*).

SCENA X.

PULKOWNIK, KAROL, (*później JULIAN i ALFONS*).

PULKOWNIK. Mówił mi hrabia, że w pikiecie jesteś pan niebezpiecznym przeciwnikiem—wczoraj dobrze się napocił.

KAROL (*z uśmiechem zarozumiałości*). Wczorajsza pikieta mogła tylko dać złe o mnie świadectwo—byłem fatalnie przegrany.

PULKOWNIK. Przegrana bynajmniej nie uwłacza grającemu—jest tylko dowodem, że szczęście chwilowo mu nie sprzyja; mistrza poznać nawet w niepowodzeniu. (*siadają do gry — z głębi wchodzi Julian i Alfons z gazetami*).

JULIAN. Cóżes pan tam wyczytał w gazetach?

ALFONS. Dobre nowiny—na zachodzie górę bierze nasza partya.

JULIAN. Jaka partya?

ALFONS. No, partya wyższych klas, rodów szlachtetnych—legitymiści.

JULIAN. Ah, legitymiści.



ALFONS. Niezadługo na dwu tronach ujrzymy prawowitych, legitymistycznych monarchów.

PULKOWNIK. Chyba na święty nigdy.

ALFONS. Co? pułkownik jest przeciwnikiem naszej partyi? może republikaninem? komunistą?

PULKOWNIK. Bynajmniej — tylko ci Burbonowie straszni mazgaje. Ten Chambord i Don Karlos...

ALFONS. Henryk piąty i Karol siódmy, pułkowniku.

PULKOWNIK. No, Henryk i Karol — leżą jak żaby do celu; — jeden w dyplomacyą się bawi, drugi z hulastrą po górach uwija się, jak... opryszek.

ALFONS. *Fi done*, prowadzi wojnę geryla-sowską. (*czyta gazetę*)

PULKOWNIK. W takich rzeczach, jak w kartach — śmiały gracz bierze pulę.

JULIAN. Albo zgrywa się do szczętu.

PULKOWNIK. Przynajmniej lat całych na rezultat czekać nie trzeba.

JULIAN. Pułkownik, jako prawy syn Marsa, małą ma wiarę w dyplomacyą i w podjazdówkę.

PULKOWNIK. Na honor, tylko wojna z wojskowymi z powołania ma sens jakiś. Wtedy uwierzę w Burbonów, gdy ich zobaczę na

czele małych chociaż, ale prawdziwych armii.

ALFONS. Ba, armie nie wychodzą same z pod ziemi.

PULKOWNIK. Niech rozwiną śmiało sztandar, niech odwołają się do całego świata, a ze wszech stron garnąć się do nich będziemy.

JULIAN. Więc i pułkownik.

PULKOWNIK. I ja, choć nie jestem młodziekiem, nie siedziałbym tutaj—przyznam się, że mi tęskno do obozowego życia... że... że... to nie moja rzecz taki stan pokojowy, bezczynny.

JULIAN. Zajęty jedynie grą w karty.

PULKOWNIK (*przeszywając go wzrokiem*), Karty, panie, dla wojskowego są rozrywką .. bo... bo... widzisz pan... one są niejako symbolem wojny—zwłaszcza, gdy mamy przed sobą należytego przeciwnika.

KAROL. Dziękuję za komplement—ale cóż, kiedy przegrywam.

JULIAN. Przebacz, pułkowniku, moją ciekawość, że cię spytam, w jakim służyłeś wojsku.

PULKOWNIK (*niby nie słysząc, do Karola*). Jesteś pan trochę roztargniony — uważaj więcej. (*z głębi wchodzi Marszałkowa i Hrabia*)

SCENA XI.

MARSZAŁKOWA, HRABIA, (później) EUGENIUSZ.

MARSZAŁKOWA. Wyobraźcie sobie, państwo—uciekamy z hrabią—bo baronowa po całych wodach nas szuka—biedaczka.

JULIAN. Pani marszałkowa lituje się szczerze nad baronową.

MARSZAŁKOWA. Rzeczywiście, żal mi jej; podobno należytego nagnałam jej strachu. Ależ doprawdy, śmiechu warte, baronowstwo! (naśladując baronową) ich ścisłe pojęcia honoru, oparte na surowej moralności—mają teraz sposobność dowiedzenia swego ścisłego honoru. (z głębi wchodzi Eugeniusz) *Monsieur Eugène*, czy pogoń czasem nie blisko?

EUGENIUSZ. W odległych bawi jeszcze regionach. Zwyciężasz pani—wróg, dotknięty panicznym strachem, szuka swego pogromcy, by ukorzyć się przed nim.

HRABIA. Teraz jesteś pani wszechwładną—ostatni nieprzyjaciel sokołdowany—nie potędze pani urągać się nie ośmieli.

MARSZAŁKOWA. Żartujesz, hrabio, sam wiesz, że są tu jeszcze silniejsze potęgi. (wyciąga papierosa) *Monsieur Eugène*, proszę o ogień. (*Eugeniusz i Hrabia podają sygara, Marszałkowa bierze sygara Eugeniusza*).

HRABIA. Jakaż to potęga?

MARSZAŁKOWA. Nie pytaj pan, sam wiesz, komu w głębi serca hołdujesz.

HRABIA. Pani jednej tylko.

MARSZAŁKOWA. Grzeczne kłamstwo — komplement obłudny — a księżna? — rumienisz się?

HRABIA. Czyż nie daję dowodów, że dla pani gotówem życie poświęcić.

MARSZAŁKOWA. Może w pojedynku z baronem, ha, ha, ha.

HRABIA. Z każdym — na jedno słowo — na jedno skinienie pani.

MARSZAŁKOWA. *Nous verrons peut-être.* (z głębi wchodzi Władysław) Patrz pan idzie nowożytny Katon z miną, jakby w jakiej misyi politycznej. Pocieszny!

SCENA XII.

CIŻ I WŁADYSŁAW.

WŁADYSŁAW (do hrabiego). Szukam właśnie pana, mam parę słów z nim do pomówienia.

HRABIA. Jeśli to nie jest tajemnicą, proszę mówić wobec wszystkich.

WŁADYSŁAW. Zlecono mi, abym prosił o zakończenie sprawy z panem Mościwińskim.

HRABIA. Ja z mojej strony zrobiłem wszystko. Pan przychodzisz pewno jako sekundant barona.

WŁADYSŁAW. Bynajmniej.

EUGENIUSZ. Ach, pan jesteś upełnomocniony od mego kuzyna do zawiązania rokowań pokojowych.

WŁADYSŁAW. Przychodzę nie od pana barona, ale...

HRABIA. A zatem jest to interwencya, której nie rozumiem.

MARSZAŁKOWA. I ja nie rozumiem— hrabia wyzwał barona, niech baron, albo sam przeprosi, albo...

HRABIA. O przeproszeniu nie może tu być mowy — baron obraził panią Marszałkową, pistolety...

MARSZAŁKOWA (*do hrabiego po cichu*). *Fi donc*, zdawałoby się, że bierzesz rzeczy na seryo.

WŁADYSŁAW. Zlecono mi zwrócić uwagę panów, że podobny żart nie jest właściwym w miejscu, gdzie na panów wiele oczu patrzy.

HRABIA. Za pozwoleniem, uwaga ta...

EUGENIUSZ. ALFONS. Panie!...

WŁADYSŁAW. Proszę się nie obrażać, przytaczam tylko słowa osoby, która mnie tu przysyła.

EUGENIUSZ. Czyż to słowa?

WŁADYSŁAW. Księżnej Podhorskiej.

MARSZAŁKOWA. Oświadczy pan księżnej, że jestem mocno obrażona i nie tak łatwo dam się przeprosić.

WŁADYSŁAW (*do hrabiego*). Księżna prosi pana o zaniechanie tej sprawy, która dla niej z wielu powodów jest przykrą, a głównie, że nie odpowiada godności towarzysztwa.

HRABIA (*zakłopotany*). Panie..... proszę oświadczyć... że życzenie księżnej jest dla mnie rozkazem.

MARSZAŁKOWA. Cofasz się, hrabio, nawet nie odwołując się do mnie. Nie powiedziałam, że jest tu osobistość potężniejsza ode mnie? A jednak na prawdę baron mnie obraził—zepsuł zabawę, którą ja zorganizowałam.

HRABIA. Przebacz pani baronowi—to człowiek tak młody jeszcze, a szanownego rodu—kuzyn księżnej.

ALFONS. Z legalnego stanowiska biorąc, księżna w towarzystwie ma pewne prawa.

MARSZAŁKOWA (*ironicznie*). Z racyi tytułu? Nieprawdaż? Róbcie panowie, co chcecie. (*wychodzi na lewo*).

HRABIA. Oświadczy pan księżnej, że niezwłocznie i na seryo pogodzimy się z baronem. Czekamy go w tej restauracyi w osobnym gabinecie.

AKT II.

(*Taż sama dekoracja, co w akcie I-szym.*)

SCENA I.

WŁADYSŁAW, JULIAN i CZESŁAW. (*siedzą na ławce.*)

CZESŁAW. Więc pokazuje się, że znałeś dawniej księżnę?

WŁADYSŁAW. Bliżej daleko, niżbyście się spodziewali—byłem z nią prawie zaręczony.

JULIAN. Przebacz mej ciekawości, ale serdecznie pragnąłbym poznać ten ustęp twojego życia.

WŁADYSŁAW. Niezajmujący, jak treść tyśiąca oklepanych romansów — przebaczcie więc, jeśli się znudzicie.

CZESŁAW. Nie troszcz się o to ostatnie.

WŁADYSŁAW. Kończyłem właśnie uniwersytet, gdy poznałem księżnę, wówczas tylko pannę Stanisławę. Było to śliczne, siedemnastoletnie dziewczę, pełne życia, naturalności, niepojętego wdzięku, poezyi — feniks pośród wszystkich tych panien, których dusze zamarły w atmosferze salonów. Ale feniks miał kolosalne wady — wychowanie wypielegnowało w niej średniowieczne przesady,—a w dodatku potrafiła je tak upoetyzować, iż fałszywym blaskiem możeby i mnie były złudziły, gdybym mniej był pewny gruntu pod nogami.

CZESŁAW. Nigdy się nie był spodział, że ty się rozkochasz w... arystokratce.

WŁADYSŁAW. Dziwna to zaiste logika miłości. Zdawałoby się, iż tylko dwa pokrewne sobie duchy zrozumieć się mogą — tymczasem my stanowiliśmy najzupełniejsze przeciwieństwo. Spotykaliśmy się w salonach w atmosferze, co nas kusiła nieustannie do poruszania najdrażliwszych przedmiotów, to też nasze rozmowy natychmiast przybierały charakter boju na gołe noże, a jednak...

JULIAN. Rozkochaliście się w sobie, przedstawiciele dwojga nieprzejednanych obozów.

WŁADYSŁAW. Kląłem własne serce, lecz nie starałem się zmusić go do milczenia — przytem w końcu zdawało mi się, zapewne przez złudzenie optyczne, iż mój przeciwnik nieznacznie ustępuje ze swego stanowiska i zbliża się ku mojemu. Wkrótce panna Stanisława wyjechała na Wołyń do rodziców — zapraszała mię w rodzinne strony, obiecując na pół żartem, że mię tam nawróci.

CZESŁAW (*z uśmiechem*). A ty przeląknęłeś się tego i nie pojechałeś?

WŁADYSŁAW. Otrzymałem wtedy miejsce w fabryce, która wkrótce całkiem leżała na mej głowie — nie mogłem więc ani na chwilę opuścić stanowiska.

JULIAN. W każdym razie utrzymywałeś listownie stosunki z panną Stanisławą?

WŁADYSŁAW. Listy jej przepełnione były wyrzutami, że dla materyalnych widoków sprawę serca na drugi plan odsuwam. Nie chciałem się tłumaczyć, dałem jej nawet poznać, że obowiązek stawiam wyżej nad wszystko—listy jej stawały się coraz rzadsze — miała przyjechać do Warszawy na karnawał, tymczasem...

CZESŁAW. Przyjechała wcześniej.

WŁADYSŁAW. Nie przyjechała wcale. Przypadkiem dowiedziałem się, że ktoś z tamtejszych panków stara się o jej rękę—chciałem jechać, ale fabryki żadną miarą opuszczać nie mogłem, nieobecność moja cały jej byt mogłaby narazić.

CZESŁAW. Daruj, ale jabym w takiej chwili własną, nie tylko cudzą fabrykę porzucił.

WŁADYSŁAW. Własną i jabym może był porzucił, ale nie cudzą—napisałem więc tylko list, w którym nie robiłem wyrzutów, nie sypałem zaklęć, jęków miłosnych, ale zapytywałem stanowczo, jak mam zapatrywać się na nasz stosunek. W odpowiedzi donosiła mi osoba obca, że panna Stanisława wyjechała za granicę — i że, o ile sądzić jej wolno, o swym oddalonym konkurencie.. zapomniała.

JULIAN. Tam do licha!

WŁADYSŁAW. Po latach kilku dowiedziałem się, że na zerwanie wpływał głównie brat jej rodzony, młodzieniec zaciekły w swoich arystokratycznych pojęciach. Tak się skończyły dzieje mojej pierwszej i pewno ostatniej miłości. Ale, ale, zapomniałem, że mam księżnej zanieść sprawozdanie z poselstwa w sprawie młodego barona.

CZESŁAW. Księżna idzie tutaj — najlepiej będzie, gdy sprawozdawcę z mandataryuszem sam na sam zostawimy. (*Julian i Czesław odchodzą na prawo, z lewej strony wchodzi Księżna*).

SCENA II.

WŁADYSŁAW i KSIĘŻNA.

KSIĘŻNA (*podając rękę Władysławowi*). Wiem już od cioci o rezultacie starań pańskich i dziękuję w jej i w swoim imieniu.

WŁADYSŁAW. Właściwie wszystkiego dokonało tu odwołanie się do życzeń pani.

KSIĘŻNA. Siadaj pan przy mnie na chwilę. (*siadają oboje na ławce*) Nie umniejszaj swojej zasługi, — bo i to dodać należy, iż musiałeś niemały przymus zadać sobie, idąc jako poseł pokoju do... wrogiego obozu.

WŁADYSŁAW. Zaręczam pani, iż przymusu nie było potrzeba.

KSIĘŻNA. Czyżbyś się pan miał zmienić? Kto wie? może zadowolniłeś się przeniesieniem walki na inne pole?

WŁADYSŁAW. Walki? na jakie pole?

KSIEŻNA. O, ja wiem wszystko—intereso-
wałam się całym przebiegiem sprawy z wła-
ścicielami fabryki. A widzisz pan — i w ło-
nie demokracji potrzebna walka, potrze-
bniejsza może, niż to ścieranie się z arysto-
kracją, do którego byłeś tyle pochopnym.

WŁADYSŁAW. Niewątpliwie — tu walka
przyda się na coś, przyniesie jakiś skutek
dodatni — tam już walka zbyteczna i bez
niej porażka jest nieuchronną.

KSIEŻNA. Paradoks dziwnie zagadkowy.

WŁADYSŁAW. Podmuch ducha czasu obali
wszystko, co zuchwale dopomina się praw
do wyłączności, kiedy nawet warunków ży-
cia nie posiada. Co do dnia wczorajszego
należy, dziś może konąć jeszcze, ale jutro
już je znajdzie pod mogilnym kamieniem.

KSIEŻNA. Nie zmieniłeś się pan i nie po-
prawiłeś ani trochę. Słyszę w panu ten sam
co i dawniej głos fanatyzmu — i z taką jak
dawniej nietością bezwzględnością, niby
trybunał rewolucyjny wydajesz wyroki
śmierci na tych, co żyją, chcą żyć i... żyć
będą.

WŁADYSŁAW. Często za życia już odbywa
się rozkład, który długo potrwać może, łu-
dząc nawet pozorami zdrowia, ale prędzej,
czy później śmierć nastąpić musi.

KSIEŻNA. Co pana upoważnia, by tak nieubłagane stosować prawa... chemiczne?

WŁADYSŁAW. Widzę szereg szaleństw, nadużyć, a żadnego prawie dodatniego objawu, — a do czasu tylko uchodzi deptanie praw przyrody, praw boskich i ludzkich.

KSIEŻNA. A jeśli te szaleństwa są dowodem nadmiaru sił, dla zużytkowania których dziś nie ma pola, bo imion rodowych dziedzice, spadkobiercy ideałów przeszłości nie chcą wchodzić w kompromis z obecnymi hasłami wieku?

WŁADYSŁAW. Jeśli hasłem wieku ma być łatwe z bogaceniem się, to i potomkowie pańskich rodów nie odpychają mamony od siebie, — tylko szukają jej częściej przy zielonym stoliku, niżli w pracy.

KSIEŻNA. Nie chwalebę kart, ale dla nich są one rozrywką, która ma powab, bo przy niej łatwo dowieść, jak się mało ceni pieniądź, dla innych wszystkiem będący.

WŁADYSŁAW. Granica między grzeszną igraszką, a występkiem bardzo nieznaczna — ale jest to tylko jedna z licznych form, w jakich przejawia się nieuchronna zguba.

KSIEŻNA. A czy nie ma deski ratunku wśród ogólnego rozbicia?

WŁADYSŁAW. Jest — jest — złożyć poblakłe sztandary i zaciągnąć się pod nową chorągiew równości, pracy i osobistej zasługi.

KSIEŻNA. Nieubłagany burzycielu, więc zupełne zerwanie z przeszłością?

WŁADYSŁAW. Bynajmniej — i my czcimy ideały wieków, nawet te, co od rdzy czasu zaśniedziały — i my wglądamy w przeszłość głębiej nawet, niżli najdumniejsza arystokracja.

KSIEŻNA. Oh, dziś historia naturalna tak daleko upędza się za rodu ludzkiego przeszłością, że aż docieka najpierwszych jego początków. Ja nie jestem tyle postępową — nie ciekawam dziejów goryla i szympansa — i ze wstydem przyznam się, iż historję zaczynam od wieków, o wiele późniejszych — od czasów, gdy człowiek był już... człowiekiem.

WŁADYSŁAW. Z paradoksów utkałaś pani tarczę, którą zasłaniasz się przed Meduzowym wzrokiem prawdy, bo go znieść nie potrafisz.

KSIEŻNA. Ta prawda dzisiejszej chwili musi być wielkiem kłamstwem, bo ona roztrąca wszystko, com uczciła, niby niespożyte wiekami świętości. Nie, jeśli ta rzeczywistość ma być tak okropną — nie chcę jej — wolę żyć i umrzeć w złudzeniu.

WŁADYSŁAW. Dawniej ludzie uciekali przed rzeczywistością na pustynię, do jaskiń podziemnych, — dziś pustelników nie ma, a rzeczywistość wdziera się do duszy, niby zło-

dziej przez otwarte okna.—Ale nie lękajmy się jej, umiejmy orlem okiem wejrzyć w jej tajnie, a da nam za to jasne i trwałe ideały.

KSIEŻNA. Da obraz zimnych materyalistów, głuszcycieli uczuć, depczących święte pamiątki, małodusznie urągających przeszłości, której nie rozumieją, kruszących budowy wiekowe, aby z gruzów stawiać karłowate domki... własnego dobrobytu.

WŁADYSŁAW. Da obraz ludzi pracy, trzeźwej myśli, gorącego serca, podejmujących dzieło, które wypadło z rąk tych, co do obowiązku, po ojcach odziedziczonych, nie mają ni chęci, ni siły.

KSIEŻNA (*z ironią*). A więc odtrącić ich, precz z nimi—zamiast połączyć się ku wspólnej pracy.

WŁADYSŁAW. Jeśli chcą, niech idą w naszych szeregach, lecz nie z buławą hetmańską, tylko z orężem prostego wojownika.—Biada im, jeśli na drodze zawadzać będą.

KSIEŻNA. Jesteś pan gorzej niż katem. Los sprzyścił się na mnie, kiedy mi kazał w życiu spotykać pana, którego muszę... szanować, choć zdruzgotałabym za to, co mi podajesz.

WŁADYSŁAW. Zastygłaś pani w swej dumie i uporze, jak muszka w lepkiem bursztynie, nie chcesz być przekonaną. Zamknęłaś się w ciasnym kręgu pojęć, niby w wieży

bez drzwi i okien, żeby ani promyczek z zewnątrz się nie przedarł. Naprawdę nasze drogi zetknęły się ze sobą—lepiej chodźmy koło siebie tak, aby one nigdy się nie przecięły. Żegnam panią — nigdy odemnie nie usłyszysz tego, co cię tak boleśnie rani. *(wstaje i chce odejść)*

KSIEŻNA. Nie, nie odchodź pan—czyż mamy rozstawać się jak dwa nieprzejezdne wrogi?

WŁADYSŁAW. Nie, tylko jak dwa przeciwległe bieguny.

KSIEŻNA *(z goryczą)*. Może pan sądzisz, że w pysze rodowej, w bałwochwalstwie dla własnego stanowiska, ogrodziłam się dogodnemi dla siebie pojęciami—i po za nie wyjrzeć nawet nie chcę? O! nie krzywdź mię pan tak ciężko.

WŁADYSŁAW. Nie badam wcale podstawy w pojęciach pani; wiem tylko, że jesteś w duszy bardzo chorą, zamierasz, a zmartwychpowstania nie pragniesz — nie obaczysz też rozwiązania zagadki wieków.

KSIEŻNA. A czy zmartwychwstałyby ze mną ideje, które wy dzieci nowego czasu, w pochodzie waszym stratujecie: honor, bezinteresowność, szlachetność, poświęcenie, wdzięk, ogłada—wszystko to, co jest dorobkiem klas przodujących. Pracowały ciężko ich ręce i głowy wtedy, gdy ojce waszej de-

mokraoyi, jak płazy czółgali się po ziemi. Wy idziecie jak burza i jak burza niszczy- cie, a wrzawa tryumfalnych orgii waszych rozdziera uszy i... serce. *(za sceną w hotelu na prawo słychać okrzyk: wiwat)* Co to?

WŁADYSŁAW. Nic, pani — orgia, na której potomkowie klas przodujących, sławią try- umf wina i kart.

KSIEŻNA. Z jakiego powodu?

WŁADYSŁAW. Dwaj poważnieni przeciwni- cy—obaj synowie szlchetnych rodów—zgo- dę swą oblewają szampanem. *(powtórny okrzyk: wiwat)*

KSIEŻNA. Chodźmy ztąd, te krzyki roz- dzierają uszy.

WŁADYSŁAW. I serce, księżno. *(wstają i od- chodzą na lewo — z prawej strony przez drzwi hotelu wchodzi Michał, a za nim Hrabia i Eu- geniusz).*

SCENA III.

MICHAŁ, HRABIA i EUGENIUSZ.

HRABIA *(zatrzymując Michała)*. Nie od- chodź, baronie — choć jeden kieliszek jesz- cze—strzemiennego.

MICHAŁ *(pijany)*. Nie mogę... mama będzie się gniewać... muszę iść do domu. *(zatacza się—Eugeniusz podtrzymuje go)*

EUGENIUSZ. Poprowadźmy go—on się jesz- cze porozbija. *(Eugeniusz i Hrabia prowadzą Michała)*

MICHAŁ. Panie hrabio... kocham... pana... bardzo pana... baron i hrabia... przyjaciele... bardzo przyjaciele... (*zatacza się*)

EUGENIUSZ. Posadźmy go na ławce, niech trochę wyszumi — tak go nie możemy prowadzić do matki. Niepotrzebnieś mu ciągle kieliszki nalewał.

HRABIA. Ależ on pił bardzo mało — wiedziałoż licho, że ma tak słabą głowę.

MICHAŁ. Ja nie mam słabej głowy... nie mam słabej głowy... tylko wino było za mocne.

HRABIA (*sadzając Michała na ławce*). Siadaj baronie, — tu tak miło na świeżem powietrzu.

EUGENIUSZ (*n. s.*) Dyabli nadali—ani pokazuj się ciotce na oczy.

HRABIA (*po cichu do Eugeniusza*). Baronowa do nas zmierza.

EUGENIUSZ. Doskonale! — zabierze sobie jedynaczka do domu, a my w nogi! Do widzenia, Michale!

HRABIA. Do widzenia, baronie!

MICHAŁ. Panie hrabio... przyjaciele... baron i hrabia... przyjaciele. (*Eugeniusz i Hrabia wchodzi do restauracji*) Do widzenia... bardzo przyjaciele. (*z lewej strony wchodzi Baronowa i Władysław*)

SCENA IV.

MICHAŁ, BARONOWA i WŁADYSŁAW.

BARONOWA. Jesteś tu, *Michel*. Co to? cóżeś taki blady?

MICHAŁ. Dobrze wszystko... baron i hrabia... przyjaciele... bardzo przyjaciele.

BARONOWA. Panie Bratanicz, on zachorował.

WŁADYSŁAW. Panu baronowi musiało wino trochę zaszkodzić — widać nieprzyzwyczajony.

MICHAŁ. Ja nie mam słabej głowy... wino było zamocne.

BARONOWA. Czy nie zgubiłeś czasem mego pugilaresu? (*szuka w bocznej kieszeni tużurka i wyciąga pugilares*) Na Boga, gdzie reszta pieniędzy? Z kilkuset reńskich kilka tylko pozostało.

MICHAŁ. Przegrałem trochę... trochę tylko, jak mamunię kocham.

BARONOWA (*chowając pugilares i zatamując ręce*). Boże, do czegoż ci ludzie go doprowadzili! To okropność, okropność, wszelkie pojęcie przechodząca!

WŁADYSŁAW. Musimy zaprowadzić do domu pana barona — najlepiej położyć go do łóżka, jutro będzie zdrów jak ryba.

BARONOWA. To okropne, okropne! Panie Bratanicz—zrób pan jedną przysługę kobie-

cie, która pokłada w panu zaufanie, która prosi pana.

WŁADYSŁAW. Jestem gotów na wszystko, co tylko będzie w mojej możności.

BARONOWA. O tak — ja ufam panu — pan jesteś człowiekiem szlachetnym, moralnym. Wyzwij na pojedynek hrabiego!

WŁADYSŁAW. Na pojedynek? Za co?

BARONOWA. Ach to straszne, niepojęte! To mój wróg zacięty! Wszystkich starań dołożył, by mi dokuczyć, by mię zniesławić, zniszczyć, — knuł spiski dopóty, dopóki tego niewinnego, jak najmoralniej wychowanego młodzieńca nie woiągnął do hulanki... kart... rozpusty, — by go zdemoralizować, zgubić na duszy i ciele. To człowiek bez Boga, szatan, wróg wszelkiej cnoty.

WŁADYSŁAW. Niech się pani baronowa uspokoi — pan baron się prześpi i żadnych złych następstw nie będzie.

BARONOWA. O będą, powinny być najokropniejsze, najstraszniejsze następstwa. Pan go wywiesz, zastrzelisz, zabijesz.

WŁADYSŁAW. Ależ, pani baronowo, to jest drobnostka.

BARONOWA. W rzeczach honoru nie ma drobnostek. Pan pomścisz moją obrazę.

WŁADYSŁAW. Nie lekceważę ni swego, ni cudzego życia — nie jest ono żartem karnawałowym — igrzać z niem nie wolno.

BARONOWA. Jakto? pan odmawiasz? mnie? kobiecie? baronowej? Ale tak — niewłaściwie zaszczyciłam pana takim zaufaniem. Pan wyszedłeś z klasy, w której nie czują pojęcia honoru, w której dla kobiety nic nie uczynią. Żegnam, żegnam pana.

WŁADYSŁAW. Pani baronowo...

BARONOWA. Żegnam pana... *Michel, mój biedny synu, chodź ze mną. (podnosi Michała z ławki)*

MICHAŁ. Hrabia i baron... bardzo przyjaciele. *(Baronowa prowadząc Michała, wychodzi na lewo)*

SCENA V.

WŁADYSŁAW, (później) JULIAN i CZESŁAW.

WŁADYSŁAW. W imię Ojca... czy się tej kobiecie w głowie przewróciło? *(z głębi wchodzi Czestaw i Julian)* Nigdybyście nie uwierzyli temu, co mię w tej chwili spotkało.

JULIAN. Cóż takiego?

CZESŁAW. Ciekaw jestem.

WŁADYSŁAW. Wyobraźcie sobie — baronowa zażądała odemnie... Nie, wy temu nie uwierzycie.

CZESŁAW. No, cóż takiego? może, byś ją wyswatał.

JULIAN. Albo żebyś się sam z nią ożenił?

WŁADYSŁAW. Jej żądanie było niemniej dziwne. Chociała, żebym się z Zakiszniokim pojedynkował. *(Czestaw i Julian śmieją się)*

JULIAN. Cha, cha, cha, za co?

WŁADYSŁAW. Za to, że przy pojednawczej uczcie spoił dzieciucha i ograł w karty.

JULIAN. Zuch, jak potrafił tę farsę i na użytek swojej kieszeni obrócić.

CZESŁAW. Ten kawałek powinien ludziom oczy otworzyć.

JULIAN. Będą widzieli w tem jedynie do-
wcipny figiel, tem więcej, że baronowa dała
się poznać trochę i ze skąpstwa. Żałuję bar-
dzo, że jutro odjadę, bobym się może nieje-
dnej komedyi doczekał. *(do Władysława)*
Eh, ty się jeszcze z kimś strzelać będziesz—
kto wie nawet, czy nie z samą baronową?

WŁADYSŁAW. Jedziesz, Julianie?

JULIAN. Jutro rano — odebrałem list, że
grono serdecznych przyjaciół o kilka mil
mię czeka. Jedziemy razem w Tatry.

WŁADYSŁAW. Gdybym mógł, pojechałbym
z tobą.

JULIAN. Nie nalegam, zostań. *(z lekką iro-
nią)* Masz ważne powody.

WŁADYSŁAW *(do siebie)*. Towarzystwo tej
kobiety ciągnie jak... przepaść. *(słychać za
sceną hałas, odsuwanie krzesetek i głos Eugeniu-
sza: „Chodźmy na świeże powietrze”).*

WŁADYSŁAW. Niezawodnie się tu cała or-
gia wysypie—odejdźmy stąd.

JULIAN. Ja im się trochę przyjrzę na osta-
tek. *(Władysław i Czesław odchodzą na lewo—
ze drzwi hotelu wychodzi całe towarzystwo)*

SCENA VI.

JULIAN, HRABIA, PUŁKOWNIK, EUGENIUSZ, ALFONS, KAROL, KILKU MŁODZIENCÓW, (później) GARSON i LOKAJ HRABIEGO.

HRABIA. Tu wprawdzie nie tak gorąco, ale zanadto na widoku.

EUGENIUSZ. Co nas oczy ludzkie obchodzić mogą—a choćby i opinia? (tymczasem garson nakrywa stół, stawia na nim butelki, kładzie karty—wszyscy siadają około stołu)

PUŁKOWNIK. Ty masz bank, hrabio—ciągnij—tu jest pula. (kładzie pieniądze na stole)

HRABIA (ciągnie karty). Moja, twoja, moja, twoja, moja, twoja, moja. (zagarnia pieniądze)

JULIAN (zbliża się do Hrabiego i kładzie mu rękę na ramieniu). Strzeż się, pieszczochu fortuny i zadrzyj wśród powodzenia twego—gdyż nieuchronna czeka cię zguba!

HRABIA. Z czyjejeże to ręki, zwiastunie strasznych nowin?

JULIAN. Ręka, która cię, hrabio, dosięgnie, jeszcze we mgłach niepewnej przyszłości. Wszelako baronowa poprzysięgła ci zemstę w nienawiści swojej i nienawisć ta nie ukoi się chyba śmiercią twoją, hrabio.

HRABIA. Co? co? baronowa?

ALFONS. Brawo! zmiana frontu! — więc *Michel* będzie się strzelał z hrabią?

JULIAN. *Michel* tu nie wchodzi w rachubę — baronowa szuka innego mściciela —

ofiarowała nawet obronę swego honoru Brataniczowi.

EUGENIUSZ. A cóż pan Bratanicz?

JULIAN. Wzruszył ramionami, ale nie ciesz się, hrabio—prędzej, czy później znajdzie się Don Kiszot, co skruszy kopię o honor Dulcinei.

HRABIA. Oby niebo zesłało go co prędzej—będzie nowa zabawka. *(zacięra ręce)*

ALFONS. Czy tak lubisz pojedynki, hrabio?

HRABIA. Miałem ich tyle w mem życiu, że prawie nałogowo przywykł do nich. Kto tyle, co ja, obracał się po świecie i to w najpierwszych towarzystwach, nie ustrzeże się awantury, zwłaszcza gdy jej nie unika i za drugich się nie kryje.

PULKOWNIK. Mniejsza o pojedynki — nie traćmy czasu.

EUGENIUSZ. Wprzód jednak wypijemy zdrowie przyszłego mściciela baronowej. *(nalewa kieliszki)*

WSZYSCY. Niech żyje! *(piją)*

KAROL. Biada ci, hrabio, bo jego życie, to śmierć twoja.

PULKOWNIK. No, hrabio, ciągnij bank. *(z głębi wchodzi lokaj hrabięgo)*

ALFONS. Biję pięćdziesiąt reńskich. *(kładzie pieniądze na stole)*

HRABIA. Co to chcesz, Janie?

LOKAJ. Proszę jaśnie pana, jakiś góral

przyniósł tu list do jaśnie pana, podobno z pobliskiego miasta.

HRABIA. Pokaż. (*rozpieczętowanie list i czyta, potem rzuca list na stół — do lokaja*) Możesz odejść.

EUGENIUSZ (*czyta*). „Jaśnie wielmożny panie! Przed godziną przybył do naszego miasta jakiś znakomity cudzoziemiec. O ile mogłem wyrozumieć — gdyż cudzoziemskich języków nie posiadam — wypytywał się o jaśnie wielmożnego pana. Dnia jutrzejszego ma stanąć w miejscu kąpielowem, gdzie się z jaśnie wielmożnym panem niewątpliwie zobaczy. Bilecik z nazwiskiem jaśnie wielmożnego cudzoziemca przy niniejszem załączam. Z uszanowaniem”. Ki dyabeł! Cóż to za podpis? Niech zginę, jeśli przeczytam. (*rzuca list na stół*)

KAROL (*bierze list*). Ministeryalny podpis — ani weź.

ALFONS. Najmniej podpisał się jego ekscelencya... pisarek od burmistrza. (*bierze bilet*) Prince Pierre Mandrique. Cóż to za jeden?

EUGENIUSZ (*biorąc bilet*). Jakiś francuz.

JULIAN (*z filuternym uśmiechem*). Prędeż hiszpan — nazwisko czysto hiszpańskie.

KAROL. Zkąd on się tu wziął do dyabła?

EUGENIUSZ. Widocznie przyjechał do wód na kuracyę.

ALFONS. Aż tu, na nasze pustkowie, kiedy tyle wód za granicą?

EUGENIUSZ. Zkąd ty go znasz, hrabio?

HRABIA. Znałem kilku książąt Mandrików w Paryżu — są to rzeczywiście hiszpanie, zapamiętali Karliści. Piotra, czyli właściwie Don Pedra nie przypominam sobie, ale z jednym Mandrikiem, Don Alonzem, żyłem w ścisłej przyjaźni. Widocznie ten kochany, nieoceniony Don Alonzo, musiał mu o mnie powiedzieć.

ALFONS. Karliści, powiadasz, Karliści? Oh, on tu niedarmo przyjechał.

EUGENIUSZ. Tak sądzisz.

ALFONS. Niewątpliwie ma do nas jakąś misję od Karola siódmego.

KAROL. Do nas? cóż znowu? cóż my hiszpanom pomódz możemy?

ALFONS. Zapewne, jesteśmy od nich daleko... ale moralnem poparciem... Król Karol wie niewątpliwie, że legitymizm ma u nas wiernych zwolenników.

KAROL. Fi — takiego pana warto przyjąć uroczyście.

ALFONS. Tak, tak — jest on gościem w naszym kraju, powinniśmy przyjąć go z obowiązku gospodarzy. A to gość nielada. — Jest on przytem przedstawicielem niejako legitymizmu, upęłnomocnionym od prawowitego monarchy.

JULIAN *(z uśmiechem)*. Zapewne, zapewne.

ALFONS *(z lekką zazdrością)*. A, hrabio, powinszować takiej znajomości.

JULIAN (*z ukrytem szyderstwem*). Powin-
szować! Niech żyje hrabia!

HRABIA (*skromnie*). Cóż to wielkiego... by-
wałem dosyć po świecie... no, a bywającemu
o stosunki znowu nie tak trudno.

EUGENIUSZ. Panowie! Nadarza nam się
niezwyczajna sposobność okazania światu,
jak my cenić ludzi umiemy.

ALFONS. Zwłaszcza takich, co wiernością
legitymistycznej chorągwi na cześć ogólną
zasłużyli.

EUGENIUSZ. Dla tego też proponuję, by go-
ścia przyjąć z całą ostentacją, z całą osten-
tacją.

WSZYSCY. Naturalnie, z całą ostentacją.

EUGENIUSZ. Hrabia zajmie się tu przygo-
towaniem wszystkiego na przyjęcie takiego
gościa. Ja, z którymś z panów, pojedę na-
przeciwno na powitanie. Tylko pamiętaj,
hrabio, niczego nie żałować.

ALFONS. Tak, hrabio, niczego, niczego.
Pamiętaj, że o tem mówić będą w najpierw-
szych salonach Francyi, nawet w samym
obozie króla Karola.

PULKOWNIK. Ależ, panowie, tak zaraz
z góry owacye urządzać. Trzeba poznać bli-
żej, co to za człowiek.

ALFONS. Cóż znowu, pułkowniku? Samo
nazwisko i pochodzenie już dostatecznie go
rekomenduje.

PULKOWNIK. Przytem etykieta nakazuje zaznajomić się bliżej, a hiszpanie na etykieta bardzo są czuli.

EUGENIUSZ. Co tam etykieta! Zaimponujemy mu naszą polską serdecznością. A co, panowie, dobry pomysł?

JULIAN. Doskonały.

ALFONS. Głosuję za nim.

KAROL. Ja również.

HRABIA. I ja.

PULKOWNIK. Ja nie. *(po cichu do hrabiego)* Nie wdawaj się w tę sprawę, to coś niejasnego.

ALFONS. Kto wie, pułkowniku, mogą się takie rzeczy wywiązać, co ciebie jako wojskowego obchodzić będą.

PULKOWNIK. Do czynu służę moją ręką i... szablą. Znajdziecie mnie gotowego w każdej chwili. Ale owacye, krzyki, biesiady, niech się beze mnie obchodzą. *(wychodzi)*

KAROL *(zacięra ręce)*. A to się tu ożywi — bo też już dyabelnie było nudno.

EUGENIUSZ. Tak, będziemy mieli festyn za festynem. A teraz wypijmy zdrowie księcia. *(nalewa kieliszki)*

WSZYSCY. Zgoda, zgoda, wypijmy!

EUGENIUSZ. Niech żyje książę Piotr Mandrique!

WSZYSCY. Niech żyje! niech żyje! *(piją)*

AKT III.

(Dekoracya ta sama co w akcie I i II—w głębi tłum ludzi, przechadzających się przez cały akt — w oddali brama tryumfalna — z prawej strony wchodzi Czestaw i Władysław).

SCENA I.

CZESŁAW i WŁADYSŁAW.

CZESŁAW. Ha, ha, ha!

WŁADYSŁAW. Na Boga, Czesiu, nie śmieję się tak zapalczywie, bo ten śmiech na manifestacyę publiczną zakrawa.

CZESŁAW. Daruj, mój drogi—*c'est plus fort que moi*. Ależ to komedye nad komedyami! Tam za rzeką gromada małych dziewcząt z jedną bramą tryumfalną, druga z tej strony rzeki, trzecią tu postavili. Towarzystwo całe wyległo w najparadniejszych strojach, a i ta twoja demokracya nie mądrzejsza — gromadami gapy stają po drodze. Mój kochany, czy ten książę Mandryk jaka znakomitość naukowa, literacka lub polityczna?

WŁADYSŁAW. Pierwszy w życiu słyszę to nazwisko.

CZESŁAW. I ja także — a jednak z memi skrzypeczkami dosyć kręciłem się po świecie, a i czytam także trochę, chociażby ga-

zetki. Ale to ksiązę, grand hiszpański, to naszym panom imponuje — a choćby był głupcem i golcem, trzeba plackiem padać przed nim na ziemię. Jaka to szkoda, że Julek wczoraj wyjechał, ten dopiero miałby pociechę.

WŁADYSŁAW. Doprawdy, mnie to dziwno, że się tak śpieszył.

CZESŁAW. I mnie dziwno. A przedstawiałem mu, że się doczeka jakiej farsy. Na odjezdnem prosił mię, żeby mu wszystko, co się tu stanie, jak najszczegółowiej opisać. *(wskazuje ręką)* Ha, ha, ha! Patrzno, patrz. Baronowa i Szolecka! Czy uważasz, jak się te sroki wypapuzowały. *Michel* we fraku, w białej kamizelce — wygląda jak kot w prześcieradle. Księżna tu idzie. Co i ona po świątecznemu? Nie, po niej nie spodziewałem się tego — nawet patrzeć na to nie mam odwagi. Do widzenia. *(wychodzi na prawo, z lewej wchodzi księżna w eleganckim stroju)*.

SCENA II.

WŁADYSŁAW i KSIĘŻNA.

WŁADYSŁAW *(kłaniając się)*. Moje uszanowanie pani.

KSIĘŻNA. *Bon jour, monsieur Ladislas*. Cóż pan patrzysz na mnie tak surowo? czy wczorajsza dysputa tak wrogo pana względem mnie usposobiła?

WŁADYSŁAW. Bynajmniej — przecież było to tylko starcie opinii, które po sobie żadnej goryczy, żadnego osobistego zniechęcenia nie powinno pozostawiać. Wszakże i ze strony pani...

KSIEŻNA. Z pewnością nie ma żadnej niechęci. Owszem, radabym, byśmy my, żołnierze z przeciwnych obozów, częściej na neutralnym gruncie się spotykali. Przecież tyle jest ogólnoludzkich tematów, w których zgodzimy się na jedno, czerpiąc z nich słodczych przyjacielskiej rozmowy. Wiesz pan, nawet nie poruszajmy tych tematów, które pomiędzy nami mogą stanąć niby kant wyostrzonego noża.

WŁADYSŁAW. A jeśli one nastroczają się same?

KSIEŻNA. Postarajmy się wymijać je.

WŁADYSŁAW. Są rzeczy, w których na prawdę nie godzi się milczeć. Czy pani wierzy, że mam dla pani prawdziwy szacunek i poważanie?

KSIEŻNA. Wyznam szczerze, że łudzę się tą myślą.

WŁADYSŁAW. Która bynajmniej nie jest złudzeniem. Czy wolno mi więc powiedzieć moje przekonanie w kwestyi, może niezbyt milej dla pani?

KSIEŻNA. Owszem, pochlebia mi to nawet, że pan chcesz, bym lepszą stała się, niż je-

stem. Wolno, najzupełniej wolno panu, tem więcej, że nie przyrzekam wcale niewolniczego posłuszeństwa.

WŁADYSŁAW. Proszę mi powiedzieć, co znaczy ten uroczysty strój na pani?

KSIEŻNA. Cóż ten strój ma rażącego w sobie? Zresztą nie mnie jednej należy uczynić to pytanie. Przecież pan widzisz, co się na około dzieje.

WŁADYSŁAW. Widzę, boleję i oburzam się.

KSIEŻNA. Nie rozumiem wcale powodu. To rzecz naturalna. Towarzystwo spodziewa się gościa z właściwej sobie sfery, coś dziwnego, że go uczyć zamierzyło?

WŁADYSŁAW. A gdyby miał przyjechać ktoś nie z właściwej towarzystwu sfery, ale człowiek zasłużony krajowi, mistrz sztuki, dobroczyńca współobywateli, czy towarzystwo wyszłoby podobnie na jego spotkanie?

KSIEŻNA. To nieznośne — rozmawiamy samemi znakami zapytania. Bądź pan pewny, że w orszaku, któryby witał podobnego męża, znalazłbyś pan i mnie i to uroczysciej jeszcze przybraną. Ale nie widzę jeszcze powodu, dla którego nie mielibyśmy witać i dzisiejszego gościa.

WŁADYSŁAW. Witać, nie wiedząc nawet, jaki to człowiek — korzyć mu się dla tego, że niezwykłym tytułem się szczyci?

KSIEŻNA. Ah, prawda, dla pana tytuły nie mają żadnego znaczenia — są nawet czemś ujemnem, uwłaczajacem tym, co je noszą.

WŁADYSŁAW. Bynajmniej — nie sędzę tylko, by dawały jakieś prawa do przywileju, choćby towarzyskiego jedynie. Nawet tytuł pani ma dla mnie pewien urok pamiątki historycznej.

KSIEŻNA (*ironicznie*). Czy tak? Tego prawie nie rozumiem.

WŁADYSŁAW. Przypomina mi, że za dni ojców naszych byli ludzie z tem imieniem, co czynem i słowem starali się dowieść, że są godni przodować współbraciom. Choćby przez samą cześć dla tej dziejowej pamiątki nie powinnaś pani brać udziału w obecnej komedyi.

KSIEŻNA. Tak wesołem mianujesz pan to słowem?

WŁADYSŁAW. Smutnem raczej, bo doprawdy smutny do dowód, że nasze społeczeństwo, jak dziecko, goni za każdym błyszczącym pozorem, że bałwochwalczo pada na twarz przed marnym nawet ognikiem, dla tego tylko, że zdaleka przylatuje.

KSIEŻNA. A pan to potępiasz, więc potępiasz i mnie?

WŁADYSŁAW. Z żalem, z ciężkim żalem, bo ja pragnąłbym... (*zatrzymuje się*)

KSIEŻNA. Cóżbyś pan pragnął?

WŁADYSŁAW. Pragnąłbym widzieć panią podniesioną tak wysoko, by żaden najdrobniejszy pyłek przygany dosięgnąć pani nie zdołał.

KSIEŻNA (*patrząc mu w oczy*). Dla czegoż do mnie jednej zwraca się pańskie pragnienie?

WŁADYSŁAW. Dla czego? Trudna odpowiedź... musiałbym chyba poruszyć...

KSIEŻNA (*przerywając*). Zapomniane już wspomnienia. Dajmy temu pokój. Chcę w oczach pańskich i we własnych oczach stanąć wyżej nad dzisiejszą słuszną przyganę. Bądź pan łaskaw odprowadzić mnie do domu. Szlachetny mój wrogu, jesteś moim najlepszym przyjacielem. (*wychodzą na lewo, z prawej wchodzi Pułkownik i Hrabia*)

SCENA III.

PUŁKOWNIK i HRABIA.

PUŁKOWNIK. Za ryzykownie pływałeś po piasku z tym Mandrykiem; boję się, byś w jakiej kałuży nie ulgnał.

HRABIA. Ależ, powiadam ci, że to nazwisko już kiedyś słyszałem.

PUŁKOWNIK. A może tylko zdaje ci się.— Zresztą nie znasz go i nie wiesz nic bliżej o nim.

HRABIA. Ba, ale on mię zna widocznie.

PUŁKOWNIK. To niczego jeszcze nie dowodzi. No, trzymaj się tu ostro, bo ja...

HRABIA (*z lekkim przestraczem*). Jaktó? nie będziesz przy tem?

PUŁKOWNIK. Pojadę polować na bekasy.

HRABIA. Bekasy? gdzie? tu w górach?

PUŁKOWNIK. No, to na orły. Przecież bez mnie dasz sobie radę.

HRABIA. Obrażą się wszyscy na ciebie, bo to ogólna uroczystość.

PUŁKOWNIK. A może i ogólne głupstwo i dla tego lepiej, że będę nieobecnym.

HRABIA. Zostań, proszę cię—a nuż wypadnie zaraz wziąć się do rzeczy.

PUŁKOWNIK. Na to będzie jeszcze dosyć czasu. Zresztą kto to wie, czy ten jegomość mamonę posiada?

HRABIA. Przecież to księżę, grand hiszpański.

PUŁKOWNIK. Może Don Golcos y Goliatis. Powiadasz, że to Karlista, to mu pewno majątek dawno Izabella skonfiskowała. No bądź zdrów—a bacność! (*wychodzi w głąb—Hrabia siada na ławce i wydobywa książkę z bocznej kieszeni*)

SCENA IV.

HRABIA (*sam*).

Obdarłbym ze skóry tego łotra Jana—po całych dniach próżniak bakuń pali, a na

fidebuse karty z książek mi wyrywa. I jeszcze zbrodniarz dobrał mi się do Almanache Gotajskiego — całą Hiszpanię i część Portugalii puścił już z dymem. Ani kartki nie zostawił! Całą Hiszpanię—właśnie kiedy wszystkie kraje świata prócz Hiszpanii, mogłyby nie istnieć dla mnie. Upiekłbym go w tej fajce, której moją bibliotekę gotów w całopaleniu poświęcić. *(przewraca karty)* Między francuzami nie ma księcia Mandryka—eh, to widocznie hiszpan. A nuż tu jaka omyłka? Ależ nie — dopytywał się o mnie—no, przecież tego sobie samemu zaprzeczyć nie mogę, że jestem znany po świecie. A może to meksykanin, lub obywatel z południowej Ameryki? *(przewraca karty)* Nie—tu nie ma go także—tem lepiej—bo te meksykańskie księstwa to bardzo podejrzane. W Europie mitra, a w domu... kapelusz słomiany i bat plantatorski. *(przewraca dalej)* Nie—nigdzie go nie ma, to pewno hiszpan. Zresztą gdyby tam była jakaś omyłka w narodowości, to się i z tego wykręcę. *(z lewej wchodzi Alfons)*

SCENA V.

HRABIA i ALFONS.

ALFONS. Ależ, hrabio, strasznie mię dziwi, że ich jeszcze nie widać. Co to za lektura hrabiego zajmuje?

HRABIA (*chowając kalendarzyk*). Eh, to nic—kalendarzyk z memi notatkami.

ALFONS. Eugeniusz i Karol pojechali na przeciw księcia. Mieli już czas przecie dojechać do samego miasta i najmniej od godziny powrócić.

HRABIA. Prawda — no, może ksiązę nie był jeszcze wybrany. (*na stronie*) Kaduk wie, co tam za лихо w tem siedzieć może.

ALFONS. To najgorzej, że już jakoś wieczór się zbliża i chłodno się robi. Panie nasze za lekko poubierane—doktor już sarka, lecz one za nic w świecie toalet nie zmieniają. Ale, ale, czy widziałeś się hrabia z baronową?

HRABIA. Po co? Żeby jak furja rzuciła się na mnie?

ALFONS. Wczoraj byłaby hrabiemu pewno oczy wydrapała. No, nie dziw, kosztowała ją grubo cała historia—już, kto wie, czyby nie wolała pojedynku?

HRABIA. Chyba nie.

ALFONS. Że ona tego nie daruje, szyć dałbym za to. Dziwię się, że dotąd jeszcze awantury hrabiemu nie zrobiła.

HRABIA. Ja też nie głupim pokazywać jej się na oczy.

ALFONS. Co się odwlecze... Masz tedy, idzie tu właśnie z marszałkową i synalem.

HRABIA (*przestraszony wstaje z ławki*). Co? idzie? doprawdy?

ALFONS. Późno, nie ujdiesz im, hrabio. Oj, z kobietami wojować niebardzo korzystnie—przegrać nic łatwiejszego, a wygrać żaden honor.

HRABIA. Niech ją wszyscy dyabli... Umykać jakoś nie wypada.

ALFONS. Odwagi! Pierwszy atak tylko straszny! (*z prawej wchodzi Baronowa, Marszałkowa, Michał i Szolecka*)

SCENA VI.

HRABIA, ALFONS, BARONOWA, MARSZAŁKOWA,
MICHAŁ i SZOLECKA.

MARSZAŁKOWA. *Bon jour, monsieur le comte.* Pani baronowa od kilku godzin szuka pana.

HRABIA (*wstając*). Żałuję, że o tem nie wiedział, bo byłbym paniom oszczędził fitygi. (*na stronie*) Ma mię już.

BARONOWA (*spuszczając oczy*). Panie hrabio, prawdziwie... bardzo mi przykro... Byłam wczoraj rozgniewaną na pana... ale dziś pierwsza wyciągam rękę do zgody.

HRABIA. Mnie jeszcze przykrzej było... prawdziwie... nie rozumiałem z jakiego powodu...

MARSZAŁKOWA. Powodu? Alez, hrabio, żart był trochę *trop fort*.

HRABIA. Wszakże pani czułaś się obrażoną i sama pragnęłaś...

MARSZAŁKOWA. Pojedynku, lecz nie tak drogiej zgody. Zresztą i w kwestyi pojedynku byłybyśmy się z baronową porozumiały, bo właściwie żywię dla niej prawdziwą przyjaźń i szacunek.

BARONOWA. Wzajemnie, wzajemnie z mej strony. Właściwie nie mam żalu do nikogo. Wczoraj, widząc *Michela* w tak niezwykłym stanie, przelęknłam się i wyobraziałam sobie rzeczy gorzej, niż były. Bo doprawdy on do niczego podobnego nie przyzwyczajony.

MICHAŁ. Rzeczywiście, wino mocne mi szkodzi i w grze szczęście nie sprzyja.

HRABIA. Jeśli przegrana obeszła barona, w każdej chwili rewanż chętnie mu udzielę.

BARONOWA. Broń Boże, nie pragniemy żadnego odwetu, pogodzenie nasze musi być... bezinteresowne, zupełne.

HRABIA. Ależ taki odwet nawet między najlepszymi przyjaciółmi...

BARONOWA. Nie, nie... żadnej zemsty, żadnego odwetu. Z całego serca przebaczymy sobie wzajemnie. (*podaje Hrabiemu rękę*). *Michel* dał mi słowo, że więcej kart do ręki nie weźmie.

MICHAŁ. Do ręki nie wezmę, bo szczęście w grze mi nie sprzyja.

HRABIA (*na stronie*). Szkoda, bo warto byłoby spłukać jeszcze choć raz chłopaczka.

BARONOWA. Zgoda, najzupełniejsza zgoda. Wobec przyjazdu dostojnego przyjaciela pańskiego, należy zapomnieć o wszystkim. Znakomity cudzoziemiec nie powinien dostrzedz szczerb w naszym społeczeństwie.

MARSZAŁKOWA. Niech widzi zupełną jedność między nami. Prawdziwie taki gość to niespodzianka, niemal cud na naszych wodach.

BARONOWA (*do hrabiego*). Panu będziemy to wszystko zawdzięczali. Cóż? Księżę Mandrique, zapewne to człowiek bardzo miły, przyjemny w towarzystwie?...

HRABIA. Rzeczywiście... zresztą panie to same poznają.

ALFONS. Przedewszystkiem to członek rodu ściśle legitymistycznego, Karlista...

SZOŁECKA. Karlista? a z kąd to, proszę pana?

MARSZAŁKOWA. Ależ Karlista, to jest zwolennik Karlosa, prawego monarchy hiszpańskiego. Nieprawdaż, panie Alfonsie? (*Alfons kiwa głową*) Przecież powinnaś pani o tem dobrze wiedzieć.

SZOŁECKA. Karlista, to więc z Hiszpanii. Zdaje mi się, że kiedyś czytałam o tem. (*na stronie*) Trzeba sobie zapamiętać. Karlista z Hiszpanii, z Hiszpanii.

BARONOWA. Powinniśmy postarać się, aby znakomity gość nie tylko zawdzięczał naszym wodom zdrowie, ale jeszcze...

MARSZAŁKOWA. Wywiózł jak najlepsze wspomnienie o naszym towarzystwie. Naturalnie... to nasz święty obowiązek.

ALFONS. Ja sędzę, że kwestya zdrowia księcia stoi tu na drugim planie.

SZOŁECKA. Proszę pana, po cóżby on tak zdaleka przyjeżdżał?

ALFONS. Uważa pani... wypadki... obecnie legitymizm stanął na zachodzie na właściwym stanowisku, górując nad niedobitkami republikanizmu i komunizmu... no... a że my...

MARSZAŁKOWA. Tak, my jesteśmy legitymistami aż do głębi duszy. Sędzę więc, że na początek powinniśmy towarzystwo od wszelkiej przymieszki komunistycznej oczyścić.

SZOŁECKA. Czyż podobna, by tak okropni ludzie znajdowali się pomiędzy nami?

MARSZAŁKOWA. Pomiedzy nami nie— ale do towarzystwa wciskają się ludzie rozmaici.

SZOŁECKA (*zakłopotana*). Ci, co się łączą z towarzystwem, nie mogą mieć takich... strasznych... idei.

MARSZAŁKOWA. Zapewne. Ci, co przyłączają się do towarzystwa, powinni poczuwać

się do obowiązku dzielenia jego idei, chociaż nie wszystkich to obowiązuje.

BARONOWA. Ja naprzykład podejrzewam mocno owego pana Bratanicza, że w pojęciach swych krańcowo, nieprzyzwoicie różni się od nas.

MARSZAŁKOWA. Pan Bratanicz? Ah, *ce Caton ridicule*. Oh, to bardzo być może.

SZOŁECKA. Z pewnością tak jest. Tego pana to nawet już w gazetach opisano.

ALFONS. Dziwna rzecz, jak on się tu wkręcił do towarzystwa.

BARONOWA. Winien to wyłącznie protekcji księżnej— to podobno dawna jej znajomość.

MARSZAŁKOWA. Powiadają, że nawet coś niby miłość z lat pensyonarskich. Gust dla mnie prawie niepojęty.

BARONOWA. Niech pani temu nie wierzy, to tylko plotki, demokratyczne plotki—nie więcej.

SZOŁECKA. Należałoby chyba zwrócić uwagę księżnej na niestosowność podobnego towarzystwa.

ALFONS. Zapewne, zwłaszcza w obec oczekiwanego gościa.

HRABIA. Trzebaby go było przedstawić księciu, a to doprawdy niełatwe.

BARONOWA. Człowiek bez żadnego tytułu.

ALFONS. No, tytuł zawsze jest — *monsieur Bratanicz, fabricant ou manufacturier*, lub coś podobnego.

MARSZAŁKOWA. *Jamais, messieurs, jamais*, to brzmi prawie nieprzyzwoicie. Z taką burzoazją wysuwać się nie można, najlepiej poprosić księżnej, aby jegomości temu na czas pobytu dostojnego gościa kazała albo wyjechać, albo przynajmniej schować się gdzieś głęboko.

WSZYSCY. Tak, tak, rzeczywiście.

SZOŁECKA. Trzeba księżnę poprosić — ten człowiek nas kompromituje.

BARONOWA. Ale co to znaczy, że księżnej jeszcze nie widać?

ALFONS. Księżna koniecznie powinna być przy wszystkim — właściwie ona reprezentuje towarzystwo.

BARONOWA. SZOŁECKA. HRABIA. Rzeczywiście, rzeczywiście.

MARSZAŁKOWA. *C'est curieux* — reprezentuje? Zdaje mi się, że reprezentujemy się sami, przecież jesteśmy obecni.

ALFONS. Zawsze osoba księżnej jest niejako... wyrazem ogólnym... koncentracją...

MARSZAŁKOWA. Z racyi tytułu? Przypuśćmy. Nie ma się jednak co kłopotać, księżna niechybnie się stawi.

HRABIA. Przed kwadranssem widziałem, jak szła do domu.

SZOŁECKA. Ja pójdę przyprowadzić księżnę. — Tak, tak — ona powinna być przy wszystkim, bo ona nas reprezentuje. (*wychodzi śpiesznie na lewo*)

SCENA VII.

CIŻ, prócz SZOŁECKIEJ.

MARSZAŁKOWA (*przedrzeźniając Szołecką*).
Nas reprezentuje? I panią Szołecką także?
Doprawdy, ta nowa arystokratka na dobre
do nas przykleić się pragnie.

BARONOWA. *C'est une bonne bête* — nie wy-
dzierajmy jej tego złudzenia, to ją przecież
tak uszczęśliwia.

MARSZAŁKOWA. A jaka skora do usług.
Jej ojciec musiał być co najmniej... lokajem.
(*Baronowa zamysła się*) O czem, pani baro-
nowo?

BARONOWA. Wiecie państwo, przychodzi
mi do głowy pewien projekt. (*do Hrabiego*)
Księżę Mandrique pewno jest jeszcze kawa-
lerem.

HRABIA. Tak... to jest... właściwie... (*na
stronie*) Nieznośne kobiety, a zaraz matry-
monialna indagacya.

BARONOWA. Tu, w kraju naszym, trady-
cyonalnie z pięknych kobiet słynącym, mo-
żnaby księciu dotychczasową swobodę skre-
pować jakimi pięknymi więzami.

ALFONS. Wyswatać go? Byłby to może
nawet krok pewną doniosłość polityczną
mający.

BARONOWA. Najstosowniejszą partya by-
łaby dla niego księżna. Księżę i księżna—
taki mariaż uwieczniłby sławę tegoroczne-
go sezonu.

MARSZAŁKOWA (*kwaśno*). Książę i księżna. *Trop de principautés*. Zresztą pytanie jeszcze, czy naszemu gościowi kto inny się nie spodoba?

BARONOWA (*uszczypliwie*). Bardzo być może—oh, bardzo może. Może nawet pani marszałkowa. Tylko że spodziewam się, iż pani nie rozwiódłabyś się z mężem, nawet dla księcia.

MARSZAŁKOWA. Już co jabym zrobiła, to do mnie należy. (*wzrusza ramionami*) Cóż znowu za nagły pociąg do przypuszczeń?

ALFONS. *Mais, mesdames*, przede wszystkim potrzeba, by książę przyjechał, a coś go nie widać.

BARONOWA. Ale, ale, czy przy witaniu nie wartoby z jakąś mówką wystąpić?

MARSZAŁKOWA. Wartoby, doprawdy, wartoby. Hrabio, powiesz słów kilka, nieprawdaz?

HRABIA. Kiedy ja właściwie po hiszpańsku nie umiem.

MARSZAŁKOWA. Książę niewątpliwie włada francuzkim językiem, jak rodowitą mową.

ALFONS. Ja do niego przemówię po francuzku.

HRABIA. Cóż mu pan powiesz, panie Alfonsie?

ALFONS. Tak — maleńkie impromptu, coś w tym rodzaju: *Excellence!* Przejęci ważnością idei, której reprezentantem...

BARONOWA. Będzie prześlicznie—przejęci ważnością idei... No, cóż dalej?

ALFONS. Dalej w tym rodzaju: Wobec owej idei... reprezentowanej... *(za sceną sły-chać trzask z bicia i okrzyk: wiwat!)*

HRABIA. Nie czas już gotować się do mo- wy, bo oto właśnie jadą.

ALFONS. Nie lękaj się pan — już ja będę mówił bez przygotowania. *(Powtórny okrzyk: wiwat!)*

EUGENIUSZ *(za sceną)*. Cicho, cicho, u mi- lion dyabłów! *(z prawej strony wchodzi Eugeni- usz i Karol)*.

SCENA VIII.

CIŻ, EUGENIUSZ i KAROL.

MARSZAŁKOWA. *Monsieur Eugène, et notre illustre hôte?*

BARONOWA. Gdzie książę? czy nie przyje- chał?

HRABIA. ALFONS. MICHAŁ. Gdzie on jest? gdzie?

EUGENIUSZ. Rozejdźcie się państwo — nie ma co czekać — dajmy pokój temu wszyst- kiemu. *(odprowadza hrabiego na stronę)* Pro- szę cię, każ natychmiast znieść bramy i roz- pędź te gromady na cztery wiatry. *(rozma- wiają z sobą po cichu)*

MARSZAŁKOWA. Co to ma znaczyć?

BARONOWA (*do Karola*). Jakto? Czyście państwo nie znaleźli księcia Mandrique?

KAROL. Owszem, znaleźliśmy go, a właściwie tylko jego nazwisko.

MARSZAŁKOWA. Gdzie? cóż?

KAROL. Na szyldzie restauracyjnym.

BARONOWA. Na szyldzie? *Impossible*.

MICHAŁ. Jakto? Księżę restaurację założył?

MARSZAŁKOWA. Cóż to za żart dziwny? Wytłomacz się pan jaśniej.

KAROL. Nie jest to żaden księżę—po prostu jakiś *bourgeois*, może nawet chłop—był gdzieś kucharzem i teraz na swoją rękę restaurację w pobliskim miasteczku otworzył. Ktoś sobie żart zrobił i tego parzygnata księciem mianował.

BARONOWA. *C'est affreux! c'est affreux!* (*rozmawia po cichu z Karolem i z Marszałkową, Michał słucha z otwartymi ustami*)

HRABIA (*na boku do Eugeniusza*). Ależ, powiadam ci, zbieg nazwisk—dziwny zbieg—każdego toby w błąd wprowadziło. (*wydobywa bilet*) Patrz, mam tu jeszcze jego bilet.

EUGENIUSZ. *Pierre Mandrique*, jak na szyldzie. A to *le prince*, dalibóg tuszem od ręki dopisane, ale zręcznie, niech go dyabli biorą.

MARSZAŁKOWA (*zbliżając się przy ostatnich słowach do Hrabiego i Eugeniusza*). A więc

wystrychnięto panów na... pozwólcie, że nie dokończę— a panowie przez łatwowierność wszystkich narazili. Ślicznie, doprawdy ślicznie. (*z lewej wpada Szotecka*)

SCENA IX.

CIŻ i SZOŁECKA.

SZOŁECKA. Ach, to okropne, niepojęte! Wyobraźcie sobie, państwo, księżna wcale nie chce przyjść — zastałam ją przebraną już... jak na... najzwyczajniejszy dzień powszedni. Robiłam jej przedstawienia, ale księżna powiedziała mi prawie niegrzecznie, że... nie mogę państwu powtórzyć.

BARONOWA. MARSZAŁKOWA. Ale mów, pani, mów.

SZOŁECKA. Księżna... powiada... że w podobnie niedorzecznej komedyi wcale nie myśli brać udziału.

BARONOWA. W komedyi? w niedorzecznej?

ALFONS (*z przekąsem*). Księżna bardzo łaśkawa.

MARSZAŁKOWA. Musiała już być z góry o wszystkim uprzedzona. Zawsze ta popularność u niższych sfer przyda się czasami.

SZOŁECKA. Na Boga, uprzedzona? o wszystkim? Co to takiego? Przez litość, powiedzcie państwo. (*Baronowa po cichu opowiada, Szotecka okazuje oburzenie*)

MARSZAŁKOWA (*do mężczyzn*). No, cóż panowie zamyślają teraz czynić?

HRABIA. Cóż? rozejść się i zapobiedz skandalowi.

MARSZAŁKOWA. Zapobiedz temu, co się już stało. *C'est jol!* Ależ na Boga, to drwiny, obraza, obelga, zniewaga — winnego ukarać należy.

EUGENIUSZ. Trudno, godność kucharska zasłania go przed naszą zemstą.

MARSZAŁKOWA. Jacy panowie domyślni i przenikliwi — restaurator zdobyłby się na podstęp, co towarzystwo na taką śmieszność wystawia.

HRABIA. Rzeczywiście...

MARSZAŁKOWA. Rzeczywiście, musi to być sprawka kogoś z tak zwanej inteligencji, która grubiańskimi docinkami mści się za to, że uznać jej pretensyi nie chcemy. Z pewnością zakowski ten koncept wyląkł się w głowie jakiegoś kandydata na generała przyszłej komuny, a tego głupca za narzędzie użyto. Panie Eugeniuszu, panie hrabio, trzeba wynaleźć winowajcę i ukarać należyście. *Adieu messieurs.* (*wychodzi na prawo, za nią Boronowa i Michał*)

SCENA X.

HRABIA, ALFONS, EUGENIUSZ, KAROL, SZOŁECKA, *(później)* WŁADYSŁAW.

EUGENIUSZ. *C'est vrai*, hrabio. Trzeba ukarać winowajcę, inaczej jesteśmy skompromitowani.

HRABIA. Ale przecież z pod ziemi go nie wydobędziesz.

SZOŁECKA. Ach, to okropne! Ci demokraci to tylko siłą swoje zapalone głowy, aby nas, nas na śmiech ludzki narazić. O, to zrobił demokrata, komunista — pewno ten nawet, którego u księżnej zastałam. Przychodził ją ostrzegać.

WSZYSCY. Któż to taki?

SZOŁECKA. Oh, ten, ten, opisywany w gazetach. *(z lewej wchodzi Władysław—do Władysława)* A, ślicznie się pan popisujesz, bardzo pięknie, precudownie. Restauratorów mianujesz pan książętami, każesz pan ludziom lepszego towarzystwa zgromadzać się na ich powitanie... kpisz sobie ze wszystkich... okropność!

WŁADYSŁAW *(na stronie)*. Restaurator? książę? ah, Julku, rozumiem cię teraz. *(do Szóleckiej)* Proszę mi łaskawie wytłomaczyć.

SZOŁECKA. Ja się tłumaczyć przed panem nie będę, wcale nie myślę, nie myślałam nigdy. To pan powinienes się nam wytłoma-

czyć, a raczej wytłomaczyć się tym panom—bo ja już z panem ni słóweczka mówić nie będę, ni słóweczka. Wiedz pan tylko, że tego panu płazem nie puszcza—nie puszcza—nie można bezkarnie na śmieszność towarzystwa narażać. (*do Eugeniusza i Hrabiego*) Panowie, pomścicie tę obelgę, naszą obelgę, obelgę całej arystokracji. (*do Władysława*) Uniżona sługa, uniżona. (*kłania się komicznie i wychodzi śpiesznie na prawo*)

SCENA XI.

CIEŻ, prócz SZOŁECKIEJ.

EUGENIUSZ (*do Hrabiego*). *C'est drôle*, ale kto wie, może ta pani jest na dobrym śladzie?

HRABIA (*do Eugeniusza*). Kto wie? Weźmy się więc do niego.

WŁADYSŁAW. Za pozwoleniem — panowie mi zapewne dostarczą klucza do tej zagadki.

HRABIA. Właściwie klucza zagadki od pana się spodziewamy.

WŁADYSŁAW. Jakto? ode mnie? nie rozumiem pana.

HRABIA. Dziwi nas to, bo sądzimy, że cała sprawa jest panu dostatecznie jasną, jaśniejszą niż nam nawet.

WŁADYSŁAW. Zaledwie domyślałem się, o co tu chodzi—a najzupełniej nie rozumiem ani przyczepki tej pani, ani słów pańskich.

HRABIA. Mój panie, my żądamy objaśnienia tego, co musi być panu dobrze znanem, bo prawdopodobnie jest pańskim dziełem.

WŁADYSŁAW. Mojem? Na jakich danych sądzisz pan, że mojem?

HRABIA. Nie myślimy dać się indagować— żądamy tylko objaśnień...

WŁADYSŁAW. Choćbym chciał, udzielić ich panom nie mogę. W każdym razie nawet miejsce publiczne nie jest stosowne do czegoś podobnego. Sądzę, że należy nam zakończyć tak śmieszłą sprawę. Żegnam panów.

EUGENIUSZ (*występując naprzód*). Za pozwoleniem — słówko jeszcze. — Nazywasz pan to śmieszłą sprawą. Zapewne, okrycie innych śmiesznością było pańskim celem.

WŁADYSŁAW. Dla czegoż panowie uporczywie twierdzicie, że coś, czego nie rozumiem prawie, było moim celem?

HRABIA. Mamy na to dowody.

WŁADYSŁAW. Dowody? Bardzo wątpię.

EUGENIUSZ. W każdym razie, chociaż moralne przekonanie.

WŁADYSŁAW. Jakie? na czym oparte?

EUGENIUSZ (*ciszej, zbliżając się do Władysława*). Miałeś pan powody do niechęci względem mnie, do zemsty nawet. Spotykamy się tu pierwszy raz w życiu, ale obadwaj wiemy dobrze, że nie jesteśmy sobie obcymi,

obojętnymi. Nie spodziewałem się jednak, że, aby pewniej trafić, sypnąłeś pan pociskami na wszystkich.

WŁADYSŁAW. Panie Milański! Aż nadto głęboko uczułem cios, którym mnie nieznanego dotknąłeś kiedyś. Rana może nie zagoiła się jeszcze, ale bądź pan pewnym, że zemsty nie pragnąłem, a w najgorszym razie w zemście tego rodzaju nie szukałbym zadowolenia.

EUGENIUSZ (*nieco zmięszany*). Może być... ale zawsze mamy pewne powody myśleć, że pan chociaż wiesz, z kąd to wyjść mogło.

WŁADYSŁAW. Może domyślam się...

HRABIA. A więc wyjaw nam pan swoje domysły.

WŁADYSŁAW. Daruj pan—rola donosiciela nie odpowiada moim przekonaniom.

EUGENIUSZ. W takim razie utwierdzasz pan nasze podejrzenia o współnictwie pańskim w tem, za co musimy żądać satysfakcyi. Oto jest moja karta. (*podaje Władysławowi bilet*)

WŁADYSŁAW. Ochłoń pan nieco, a poznasz dobrze, na jak poważne tory ściągasz pan rzecz w gruncie błahą i śmieszłą.

EUGENIUSZ. Oh, ja czuję dobrze, w jaką przepaść śmieszności wciągnął mnie koncept niewczesnego żartownisia i muszę wydobyć się z niej, choćby kosztem własnego życia.

Dla tego będę się strzelał z kimkolwiek — najmilej byłoby mi z panem. Przyjmujesz pan pojedynek?

WŁADYSŁAW. Panie, życia nie dano nam na marną kaprysu igraszkę, ale na pożyteczną działalność — ono w połowie tylko do nas należy, w drugiej połowie jest własnością społeczeństwa i ludzkości.

EUGENIUSZ. Nie przyszedłem tu słuchać morałów. Jeśli pan odmawiasz zadosyćczynienia, nazwę pana publicznie...

WŁADYSŁAW. Wstrzymaj się pan, nie zasłużyłem na żaden obelżywy przydomek. Podobnie jak pan, czuję własną godność i bronić jej potrafię.

EUGENIUSZ. Więc przyjmujesz pan pojedynek?

WŁADYSŁAW. Potępiam fatalny przesąd, co każe mordem rozwiązywać kwestye honoru i uczciwości, ale zmuszasz mię pan. Oczekuję sekundantów.

EUGENIUSZ. Stawią się niezadługo.

WŁADYSŁAW. Pamiętaj pan, że bierzesz na swe sumienie wszelkie skutki swej zawziętości i nierozwagi.

AKT IV.

(Dekoracya ta sama, co w akcie I.—Na ganku, oświetlonym kinkietami, stół nakryty, na nim butelki, kieliszki i karty. — Noc letnia, jasna, księżycowa; z postępem czasu świt następuje i coraz jaśniej się robi.)

SCENA I.

EUGENIUSZ, HRABIA, PUŁKOWNIK, ALFONS i KAROL *(siedzą przy stoliku, grają w karty i piją wino.)*

HRABIA *(kładąc karty)*. Moja, twoja, moja, twoja, moja. *(zgarnia pieniądze)*

ALFONS. Znowu obydwaj przegraliśmy, Eugeniuszu.

EUGENIUSZ. Jeżeli los mi dzisiaj tak we wszystkim, jak przy grze posłuży, to mogę was śmiało na mój pogrzeb zaprosić.

HRABIA. Bądź dobrej myśli, nie darmo powiadają, że kto nieszczęśliwy w karty, ten szczęśliwy...

EUGENIUSZ. W miłości, ale nie w nienawiści, — a pojedynek przecie jest nienawiści dziełem.

HRABIA. Eh! głupstwo! strzelasz wybornie, a przeciwnikiem twoim jest uczony, co może z bronią ledwie obejść się umie.

EUGENIUSZ. Traf lepszym jest strzelcem od nas obydwu. W pojedynku Wilhelm Tell może zginąć z rąk pastuszka, co pistoletu nigdy w życiu nie widział.

ALFONS. Ja, na twojem miejscu, Eugeniu-szu, szukałbym zgody. Żeś wyzwiał Bratanicza, nie dziw—byłeś wzburzony, marszałkowa jeszcze oliwy do ognia dołała, ale... widzisz... unoszenie się... zaciemnia kwestyę zasad... kto wie, kto tu winien na prawdę.

EUGENIUSZ. Cofać się niepodobna — żart był za nadto złośliwy i bardzo chytrze na ośmieszenie nasze uknuty. Śmieszność jest jak tunika Dejaniry—kto się nią raz okryje, nie zedrze jej inaczej, jak naddzierając własne ciało i... krew popłynąć musi.

ALFONS. A jeśli Bratanicz jest niewinny w tej sprawie?

HRABIA. Właściwie trudno pojąć w takim razie, dla czegooby nie chciał wydać sprawcy, którego (*ironicznie*) domyśla się, jak sam powiedział.

ALFONS. Bo może nie chciał... nikogo narażać — może to... człowiek szlachetny... W pytaniu brak było... należytego... sformułowania... więc duma osobista nie dozwoliła mu odpowiadać.

EUGENIUSZ. Dopatrujesz wyższych motywów tam, gdzie ich być nie może. Eksfabrykant należy do obozu, gdzie nie szukaj podobnych rzeczy.

ALFONS. No... widzisz... osobisty charakter także coś znaczy — zresztą znam go mało, może ty znasz go lepiej.

EUGENIUSZ. Do pewnego stopnia, choć tutaj po raz pierwszy dopiero się spotykamy. W dziejach mojej rodziny odegrał on ważną rolę i już raz stoczyliśmy z sobą zacięty bój, chociaż nas góry i rzeki oddzielały. Był on konkurentem do mej siostry i gdyby nie ja, zostałby jej mężem.

WSZYSCY (*zdziwieni*). Konkurentem księżnej!

HRABIA. I dziś drugi raz stać się nim może.

EUGENIUSZ. Widocznie sam los chce, abym go usunął.

PULKOWNIK. Panowie, do pojedynku jeszcze dosyć czasu—hrabio, ciągnij bank dalej.

HRABIA. No, co bijesz, Eugeniuszu?

EUGENIUSZ. Nic—dosyć tego—muszę was opuścić. (*wstaje*)

HRABIA. Odochodzisz—jesteś tyle przegrany; graj, to się odegrasz.

EUGENIUSZ. Albo zgram do reszty. Obojętne to dla mnie w tej chwili. Niezadługo postawię na kartę więcej niż całe mienie, bo wszystek czas, co mi na ziemi pozostaje, — trzeba przygotować się na przypadek przegranej. Pułkowniku, chodź ze mną — jako mój sekundant, musisz wysłuchać ostatnich

może zleceń moich. Panowie, do widzenia na oznaczonym placu pod lasem. (*Eugeniusz i Pułkownik wychodzą na lewo*)

SCENA II.

HRABIA, ALFONS, KAROL, (*później*) PUŁKOWNIK.

ALFONS. Wiesz hrabio, szczęście ci służy — wygrałeś niemało pieniędzy od Eugeniusza, a nadto on za ciebie głowę nadstawia.

HRABIA. Nie rozumiem wcale tej interwencji.

ALFONS. Bo widzisz, hrabio, gdyby nie przechwałki o twych z arystokracją całego świata stosunkach, toby ani do skandalu, ani do pojedynku nie przyszło.

HRABIA. Gdybym tak jak niejeden siedział całe życie za piecem, tobym wcale o moich stosunkach mówić nie mógł.

ALFONS. No, już jeżeli, hrabio, wszystkich znasz tak, jak tego księcia Mandryka, to ci winszuję.

KAROL. Przewróciliśmy cały almanach Gotajski, nigdzie o żadnym nietylko księciu, ale i hrabi Mandryku nie ma wzmianki.

HRABIA. Czyż *Mandrique* nie jest nazwisko hiszpańskie?

KAROL. Pamiętam, iż w jakimś romansie czytałem o Don Luisie Manrique, ale to był mnich, spowiednik Filipa drugiego, nie żaden książę.

ALFONS. W takich rzeczach nieświadomość lub omyłka dziwne doprawdy... Imiona rodzin legitymistycznych są zbyt głośne... by fantazyja na ten temat...

HRABIA. Ależ przecie i panowie także...

KAROL. Hrabio, złapałeś się.

HRABIA. Musiałbym mieć nadludzką chyba pamięć, gdybym pamiętał wszystkich książąt i hrabiów, których poznałem, bawiąc przez lat kilkanaście w Paryżu.

ALFONS. Gdzież to hrabia porobił takie znajomości? boś pewno w Tuillerach nie bywał.

HRABIA. Bardzo proszę, bez przymówek—bo ja znosić ich nie myślę.

ALFONS. Takiś drażliwy, hrabio, może masz ochotę pojedynkować się.

HRABIA. Być może,—z tą radzę nie zachodzić ze mną za daleko.

ALFONS. Ba, hrabia jesteś odważny — ale odwaga ta i pohopność do krwi rozlewu nie zawsze wporę się objawiają.

HRABIA. Bardzo proszę...

ALFONS. Choćby, na przykład, przy wczorajszej historii—byłbyś cały wstyd zgryzł w milczeniu, szczęściem ze się tu ktoś inny znalazł.

HRABIA. Moi panowie, bądźcie pewni, że byłbym sam wyzwiał tego jegomościa, ale Eugeniusz jest gorączka, uprzedził mię.

KAROL. Wiesz hrabio, to byłoby słusznie i sprawiedliwie, bo przedewszystkiem tyś został skompromitowany.

ALFONS. Obraza z pewnością zmytą nie zostanie, jeśli ktoś inny za nią głową nałoży.

KAROL. Tak, tak, hrabia powinienes strzelać się z eksfabrykantem.

HRABIA. Owszem, gotów jestem — postarajcie się skłonić Eugeniusza, by mi swego miejsca ustąpił.

KAROL. O tem ani myśleć.

ALFONS. Ale jest inny sposób. (*z głębi wchodzi Pułkownik i staje na boku*) Pojedynek ma nastąpić o czwartej — wyzwij, hrabio, przeciwnika na wpół do czwartej, zastrzelisz go, honor twój wyjdzie świetnie z próby, a dasz przytem znakomity dowód przyjaźni dla Eugeniusza, o której tak często prawisz.

KAROL. Tak, tak, to jedyna droga — tak powinienes uczynić.

HRABIA (*patrząc na nich z pod oka*). Dajecie mi, panowie, dowód przyjaźni tą radą. Rzeczywiście myślałem, jak ocalić Eugeniusza i zaspokoić sumienie moje, ale nic wymyślić nie mogłem. Wyście otworzyli mi oczy.

ALFONS. Więc strzelasz się o pół godziny wcześniej, niż Eugeniusz?

HRABIA. Poproszę was jeszcze o jeden dowód przyjaźni. Panie Karolu, będziesz moim sekundantem, obydwaj z panem Alfonsem wyzwiecie Bratanicza. Tylko ostrożnie, by to nie doszło do Eugeniusza.

ALFONS. Tak, to doskonale, hrabio. Chodźmy. (*Alfons i Karol wychodzą na lewo*)

SCENA III.

HRABIA i PUŁKOWNIK.

HRABIA (*z lekkim westchnieniem*). Ha, pułkowniku, słyszałeś? będę się strzelał.

PUŁKOWNIK. Głupcze, dałeś się złowić młokosom na piękne frazesy i wyobrażasz sobie, że odegrasz rolę bohatera.

HRABIA. Trudno, fatalizm losów mię popycha. Gdybym inaczej postąpił, straciłbym wiele.

PUŁKOWNIK. A teraz co myślisz zyskać?

HRABIA. Wiele, bardzo wiele—poświęceniem mem zjednam sobie większą jeszcze przyjaźń Eugeniusza i stanę dobrze w oczach jego siostry. Bo, pułkowniku, ta kobieta... nie śmiem się zbliżyć do niej... ale w sercu...

PUŁKOWNIK. Cyt, nie rozczulaj się, bądź pewny, że najszczytniejszem poświęceniem nic nie wskórasz u tej dumnej jaśnie oświeconej. Przytem nie ma co liczyć na wesele po pogrzebie.

HRABIA. Eh, głupstwo, ten uczony chemik nie taki groźny przeciwnik.

PULKOWNIK. Widziałem go rano w strzelnicy — strzelał do celu z różnej odległości i ani razu nie chybił.

HRABIA. Straszysz mię, jakby dziecko jakie.

PULKOWNIK. Zawsze zalecałem ci baczność i umiarkowanie. Powinieneś być zapatrywać się na mnie—ja, naprzykład, niebardzo wierzyłem tej blade z Hiszpanem—i widzisz, ja jeden tylko nie wpadłem w łapkę. Polujemy na grubą zwierzynę, a na takich łowach zdarza się nieraz, że sam myśliwy ofiarą się staje. Żal mi ciebie — będą sobie musiał poszukać innego partnera. Na drugi raz poszukam takiego, co by niegorzej od ciebie błagą do sieci głupców naganiał, ale w chępliwości i kłamstwie umiał miarę i ostrożność zachować.

HRABIA. Więc powiadasz, że chemik strzela dobrze?

PULKOWNIK. Ręczę ci, że zostanie z czasem królem kurkowym.

HRABIA. Eh, chybić może.

PULKOWNIK. Licz, licz na przypadek nieprawdopodobny. Jest to człowiek, co noy na hulankach nie spędza, ręka mu nie zadrzy, oko się nie zaćmi. *(chwila milczenia)*
A co? odchodzi cię odwaga?

HRABIA. Rzeczywiście, nierozważnie postąpiłem. Co tu robić, pułkowniku?

PUŁKOWNIK. Nie ma co, zabieraj się i wyjeżdżaj ztąd co żywo.

HRABIA. Ależ na Boga, uciekać! — skompromituję się na wieki wieków, nigdzie nie będę mógł się oczom ludzkim pokazać.

PUŁKOWNIK. Graj więc dalej rolę bohatera i... pisz testament. (*chce odejść*)

HRABIA. Czekał, człowieku bez litości, czyż godzi się towarzysza swego w takiej chwili opuszczać bez pomocy?

PUŁKOWNIK. Więc słuchaj mię — wyjeżdżaj natychmiast, ani chwili nie zwlekaj.

HRABIA. Ależ opinia moja...

PUŁKOWNIK. Spuść się na mnie, — czyjaś sława padnie ofiarą, ale postaram się, że nie twoja. Musisz kartkę napisać, potrzebna mi do mego planu.

HRABIA (*z westchnieniem*). Chodźmy. (*Hrabia i Pułkownik wychodzą na prawo; z głębi wychodzi Władysław i spotyka wchodzącego z lewej strony Czesława*).

SCENA IV.

WŁADYSŁAW i CZESŁAW.

CZESŁAW. Nie śpisz już, Władysławie?

WŁADYSŁAW. Mówią, że skazani śpią twarzo i smacznie w przeddzień stracenia,

bo nie mają już wątpliwości co do swego losu, ale niepewność sen od oczu odgania. Cóż to za ślady jakiejś bachanalii?

CZESŁAW. Zdaje się, że to przeciwnicy oblewali spodziewany tryumf.

WŁADYSŁAW. Karty i butelki na progu takiej chwili?

CZESŁAW. Widocznie chcą pokazać światu, że myśl o śmierci nie przestrasza ich wcale i kielicha uciech z rąk nie wytrąca.

WŁADYSŁAW. I życie i śmierć zarówno z lekkiej biorą strony, lekkomyślnie przeskakując od błazeńskiej farsy do śmiertelnego boju, to też i życie i śmierć ich zarówno są bezpożyteczne i niech co chcą mówią... zarówno niezaszczytne. Powinienbym złorzeczyć losom, że się znalazłem pomiędzy nimi, ażeby wóz ich, toczący się szalenie, pociągnął mię za sobą — teraz mogę wpaść pod koła i zostać zdruzgotanym do szczętu.

CZESŁAW. Coby Julian mówił, gdyby wiedział, iż takie skutki na twą głowę ściąganie?

WŁADYSŁAW. Któżby mógł podobnych spodziewać się skutków? Julian był pewny, że to będzie jedynie zdemaskowaniem błagiera i kłamcy, i nigdyby nie był pomyślał, że całe koło z tym kłamcą solidaryzować się zechce i że znajdzie się obrońca tak śmiesznej sprawy. Czesławie, jeśli nie wrócę,

pamiętaj powiedzieć księżnej, iż żyłem i umarłem... Nie, nic nie mów—po co zostawiać w spuściznie myśl, coby ją może gryzła do zgonu.

CZESŁAW. Sumienie księżnej jest już zdraśnięte—wczoraj miałem możność powiedzenia jej słów kilku, które przyjęła w milczeniu, lecz milczenie owo bardzo było wymowne.

WŁADYSŁAW. Cóżes jej powiedział?

CZESŁAW. Mówiłem, dla jakich powodów nie przyjechałeś za nią na Wołyń; dałem jej poznać, jak niesprawiedliwie sądziła cię, przypuszczając oziębłość i materyalizm tam, gdzie wyższe pobudki uznać należało.

WŁADYSŁAW. Żleś uczynił. Kiedy odrobieć przeszłości nie można, po cóż wyjaśnieniami zwiększać gorycz, że się inaczej nie stało. Jeżeli zginę...

CZESŁAW. Nie mów o śmierci. Wobec niebezpieczeństwa, którego uniknąć nie można, najlepiej wychodzi ten, co staje z myślą, że wygrana nie jest niepodobieństwem.

WŁADYSŁAW. Ty może podejrzewasz mię o brak odwagi, o przesadną troskliwość co do ziemskiego istnienia. Nie, wierz mi—nie lękam się śmierci — dla mnie nie jest ona początkiem nicości i w niejednej chwili byłbym odszedł ze świata z tym spokojem, z jakim nasycony człowiek odchodzi od nie-

dokończonej uczy, nie zazdroszcząc współbiednikom dalszych kielichów i przesyty.

CZESŁAW. Nie myślałem krzywdzić cię żadnem, by najmniej uwłaczajacem przypuszczeniem.

WŁADYSŁAW. Kto wie, czy mimowolnie nie błysnęło w tobie? nie miałbym żalu, bo to rzecz naturalna. Ale słuchaj, dla spokoju mego muszę cię utwierdzić w mniemaniu, że nie jestem zniewieściałym lęklivcem, arcytroskliwym własnego życia stróżem. W fabryce razu jednego dają znać, że grozi niebezpieczeństwo pęknięcia kotła. Biegnę niezwłocznie, odrazu obejmuję ogrom niebezpieczeństwa—nie było czasu do stracenia—śmiało biorę się do wypuszczenia pary. Lada chwila mógł nastąpić wybuch i ja pierwszy padłbym ofiarą, kończąc życie w męczarniach równych spłonięciu na inkwizycyjnym stosie. A jednak włos mi nie drgnął na głowie, nie czułem ani cienia strachu i dziś wspominam tę chwilę ze spokojem, z błogością nawet, jaką daje pamięć spełnienia świętego obowiązku.

CZESŁAW. Nie wątpij, że i dziś o i ręka nie zadrży i dasz zaczepnikom należyta odprawę.

WŁADYSŁAW. Dziś mniej, niż kiedy ufam mojej ręce, a za nic w świecie nie chciałbym, aby rzecz skończyła się czemś więcej, niż

postrzeleniem przeciwnika—nie choę obciążyć sumienia i pamięci mojej. A mogę także sam paść ofiarą. Czesławie, pojmuję uczucia żołnierza, co ginie za droższą mu od życia sprawę; pojmuję pracownika, padającego pod druzgoczącą potęgą zabójczych żywiołów, lecz lękam się przedśmiertnych myśli człowieka, dającego życie za głupstwo, nędzną farsę, którąby wygwizdano na deskach teatralnych.

CZESŁAW. Władysławie, nie stawaj na placu, wyjedź czem prędzej — niech cię nie obchodzi ani szyderstwo gawiedzi, ani tryumf nikczemników. Na nędzne próżniaków oszczerstwa odpowiesz życiem pracy, zasług i z czasem ludzie od wszelkiego oczyszczą cię zarzutu. *(z głębi wchodzi Alfons z pudełkiem pod pachą.)*

SCENA V.

WŁADYSŁAW, CZESŁAW i ALFONS.

WŁADYSŁAW. Mój sekundant. Czy już czas?

ALFONS. Właściwie mamy jeszcze kilkanaście minut czasu. No, ale sądziłem, że lepiej będzie, gdy przyjdziemy wcześniej niż przeciwnik.

WŁADYSŁAW *(z goryczą)*. Masz pan słuszność. Bądź zdrow, Czesławie. *(Władysław i Alfons wychodzą na prawo)*

SCENA VI.

CZESŁAW (*sam*).

Trudno go odciągnąć od pojedynku. Fatalny przesąd, jak przepaść czycha na zgubę uczoiwego człowieka — jeżeli się cofnie, wpada w drugą otchłań niesławy i hańby do zgonu. Smutna to dla nas nauka, by koło jasnych panów chodzić z daleka, bokiem, bo tym, co się zanadto zbliżają, przypomną boleśnie, że do innego należą świata. Mniejsza o to, zostawmy ich w tej nietykalności, dziś już nowa na świecie strategia—wojska mijają twierdze niedostępne, bo na zdobywanie trwoni się wiele czasu, a zdobycie korzyści żadnej nie przynosi. (*z głębi wchodzi Księżna*)

SCENA VII.

CZESŁAW i KSIĘŻNA.

CZESŁAW. Jakto? Księżna już wstała?

KSIĘŻNA. Ani na chwilę oka nie zmrużyłam. Panie, powiedz, na Boga, co się tu dzieje?

CZESŁAW. Nic a nic nie wiem.

KSIĘŻNA. Wczoraj Eugeniusz rozstał się ze mną w tak dziwny sposób, iż niedobrym przeczuciom żadną miarą obronić się nie mogę. Przed chwilą widziałam w jego oknie światło, a potem, o ile mi się zdaje, on sam z jakimś pudełkiem wychodził.

CZESŁAW. Nie widziałem wcale pana Miłańskiego.

KSIĘŻNA. Obiegają dziwne plotki—mówią o jakimś podstępie, skandalu—podobno hrabia i marszałkowa nie posiadają się z gniewu. Lękam się, czy ta lekkomyślna kobieta nie rzuciła zarzewia. Z oczu pańskich czytamy, że wiesz wszystko, — przez litość, nie ukrywaj nic. Przeczucie powiada mi, że to o moją pierś się rozbije.

CZESŁAW. Pani, nie mam odwagi.

KSIĘŻNA. Nie dręcz mię pan, —miej odwagę powiedzieć otwarcie wszystko—nie sądz, że jako słaba kobieta nie wytrzymam ciosu, który ma spaść na mnie.

CZESŁAW. Więc dowiedz się, księżno, że brat pani wyzwiał na pojedynek Władysława Bratanicza.

KSIĘŻNA. Cóż za okropna fatalność! Czyż umyślnie los stawia na drodze naszej tego człowieka, aby od nas ciężkich krzywd doznawał? Oh, bo ja zrozumiałam wczorajsze słowa pańskie—wiem, jak niesprawiedliwie osądziłam go w sercu. I mój brat niemalą część grzechu ma na sumieniu swoim. Nie zdołaliśmy osiągnąć go na wysokościach jego ducha, nie podnieśliśmy się na tyle, aby słowo *obowiązek*, tak jak on, zrozumieć.

CZESŁAW. Stało się, księżno — żal przeszłości nie naprawi.

KSIEŻNA. Mamyż dziś pomnażać winę naszą? Kiedyż ma się odbyć pojedynek?

CZESŁAW. Dziś rano, może nawet w tej chwili.

KSIEŻNA. Dziś? teraz? gdzie, na Boga, gdzie?

CZESŁAW. Nie wiem na pewno—ale mniej więcej domyślam się. Co pani zamierzasz czynić?

KSIEŻNA. To, co jest moim obowiązkiem. Panie, prowadź mię na miejsce boju.

CZESŁAW. Jako? pani chciałabyś?

KSIEŻNA. Wiem, że mię potępią wszyscy ograniczeni i złośliwi,—wiem, że idę wbrew zwyczajom świata i pojęciom, w ułudną szatę honoru przybranym — ale powinnam nie dopuścić, aby ścierali się w śmiertelnym boju ci, co są obydwaj zarówno mi... drodzy!
(*Czesław i Księżna wychodzą na prawo, z lewej strony wchodzi Eugeniusz*)

SCENA VIII.

EUGENIUSZ (*sam*).

Jeszcze nie ma pułkownika?... (*patrzy na zegarek*). Dopiero wpół do czwartej. Pilno mi widać zgładzić tego człowieka... (*z goryczą*) mego niedoszłego szwagra. Doprawdy wolałbym, by się to wszystko już skończyło.
(*z lewej strony wchodzi komisarz i żandarm*)

SCENA IX.

EUGENIUSZ, KOMISARZ, ŻANDARM (później)
GÓRAL.

ŻANDARM. Oto jest, proszę pana komisarza, jeden z tych panów.

KOMISARZ (zbliżając się do Eugeniusza).
Dobry wieczór, Herr Graf.

EUGENIUSZ. Dzień dobry, chyba—co sobie pan życzysz?

KOMISARZ. Mam honor zaprezentować se panu grafowi, co komisarz policejny, a przitom arrestirowat pana grafa.

EUGENIUSZ. Aresztować? — mnie? — a to z jakiego powodu?

KOMISARZ. Nech se pan graf ne raczi hniewat, ale to je moje powinność.

EUGENIUSZ. Pan chyba żartujesz? Nie rozumiem, coby pana do tego upoważniać miało.

KOMISARZ. Ne, ne, ne żertuju. Ste pan graf *denuncirt*, że se myslite *duellirowat*, a pro to ja mam powinność *arrestirowat* pana grafa.

EUGENIUSZ. Ciekawym bardzo, kto mógł mię tak fałszywie oskarżyć?

KOMISARZ. To ja ne mohu powiedet, ale to je isto. — Panowie polaci mate horkou krew, pijete wino, brajete w karty, a z toho przyjde do *zanku*, a pozdiei do *duellu*. Ale ja mam *besel* od *Kreishauptmana*, abych zadny *duel* ne dopustil — bo to je hanba, tady lude jezdieji se leczit, a ne zabijet.

EUGENIUSZ. A, potrzeba było takiej jeszcze przeszkody. Oni tam będą, a ja... ja... nie stanę... Uh, to niepodobna... *(po chwili)* Pannie komisarzu, posłuchaj mnie—na aresztowanie i ściganie winnych, będziesz miał dosyć czasu... po pojedynku — teraz puść mię pan — jest to sprawa honorowa — bądź pan tyle grzecznym, by się nie mieszać przedwcześnie, a... *(z naciskiem)* greczność pańska dobrze wynagrodzoną zostanie.

KOMISARZ. *Schönsten Dank, Herr Graf*—ja se bojim odpowiedzialności, *Befehl ist kein Spass*—a take sem dobri krzestian, ne mohu dowolit, aby se lude zabijeli. Ja musim arrestirowat pana grafa. *(z lewej strony wchodzi góral z listem w ręku)*

GÓRAL. Proszę jaśnie pana — mam tu do jaśnie pana karteczkę.

KOMISARZ. Daj ju sem, ja ju przeczitat musim. *(odbiera karteczkę z rąk górala—góral odchodzi)*

EUGENIUSZ. Spodziewam się, że aresztowałeś pan mnie, nie moje tajemnice.

KOMISARZ. Gdyż sem *arrestirowal* pana grafa, *arrestirowal* sem wszecko. *(czyta dość płynnie, czeskim akcentem na pierwszej zgłosce)* „Kochany Eugeniuszu! Ponieważ obraza mnie się tyczyła, wyzwiałem Bratanicza na pojedynek, naznaczając mu termin na pół godziny wcześniej niż ty. Ktoś widocznie

zdradził zamiary nasze i dla tego muszę natychmiast wyjeżdżać, chcąc uniknąć aresztowania. I tobie radzę mieć się na ostrożności. Kto mógł nas zdradzić, nie wiem. Domyślam się jednak, że ktoś, mający w tem bezpośredni interes. Twój, Stefan". Chi, chi, chi — to se jeszcze inny chtiel *duellirowat*, ale miel strach i utekl. No, Bohu diekowat, Bohu diekowat. (*zacięra ręce*)

EUGENIUSZ. Rozumiem teraz wszystko, tragedia była zbyt straszną dla kogoś, — więc się postarał o przerobienie jej na komedję, ale śmieszność bywa także zabójczą bronią.

ŻANDARM. Panie komisarzu, to trzeba posłać w pogoń za tym jakimś panem, bo i on chciał się pojedynkować.

KOMISARZ. Ale utekl i dobrze udielal, to se už pojedinkowat ne bude. Pan graf odpusti—my musime jechat do miasta. — *Franz, rufe den Wagen, aber gleich, geschwind.* (*żandarm wychodzi na lewo*)

EUGENIUSZ (*szyderczo*). Czy nie każesz pan także aresztować tego pana, z którym mieliśmy się strzelać?

KOMISARZ. Neni potrzeba, už duellu ne bude.

EUGENIUSZ. Chcesz pan denuncyantowi zostawić tryumf i komedję ostrzelania placu. (*wychodzą na lewo*)

AKT V.

(Okolica rzadkimi drzewami porośła, — w głębi dekoracya przedstawia piękny krajobraz górski — na prawo widać domek w guscie szwajcarskim, drugi mniejszy z lewej strony, dalej kilka innych domków — z lewej strony ławka pod drzewem. Na ławce siedzi księżna z robótką w ręku; z głębi wchodzi Władystaw).

SCENA I.

KSIEŻNA i WŁADYSŁAW.

KSIEŻNA *(do wchodzącego Władystawa)*. Czy byłeś pan w urzędzie policyjnym?

WŁADYSŁAW. Właśnie ztamtąd powracam. *(siada na ławce obok Księżnej)*.

KSIEŻNA. I cóż panu powiedziano?

WŁADYSŁAW. Posłańca z moją deklaracją, że się już pojedynkować nie będę, od kilku godzin do miasta powiatowego wyprawiono. Zaręczają mi, że jeśli pan Eugeniusz podobnąż złoży deklarację, natychmiast go wypuszczą.

KSIEŻNA. Kiedy powróci, podasz mu pan rękę do zgody?

WŁADYSŁAW. Z całego serca.

KSIEŻNA *(ściskając go za rękę)*. Dziękuję, dziękuję panu.

WŁADYSŁAW. Choćbym nie wiem jaki żal miał do niego, czyż mógłbym postąpić inaczej po tem wszystkim, co pani dla mnie uczyniłaś?

KSIEŻNA. Cóżem ja uczyniła? nie byłam przecież ramieniem policyi i nie zapobiegłam pojedynkowi mocą mego urzędu.

WŁADYSŁAW. Pani byłaś aniołem pokoju, który zstąpił w chwili, gdy fatalność nieporozumień złowrogi zamęt sprawiła.

KSIEŻNA. Oh, nie podnoś mię pan aż do niebios—to była rzecz czysto ziemską, spełnienie obowiązku, który sama przyroda na kobietę włożyła. Zresztą obowiązek ów był jednym z punktów wzajemnego naszego rachunku.

WŁADYSŁAW. Wróciłaś mię pani do życia, podwójnie, potrójnie wróciłaś do życia. Jakżeż teraz inaczej patrzę w przyszłość! Od dziś dnia postanowiłem iść tylko drogą wielkiej pracy społecznej...

KSIEŻNA. Tak, jak szedłeś pan dotąd. Jednak do postanowienia swego pozwól dołączyć jedną prośbę, czy radę. Nie trwój pan czasu na rzucanie pocisków do wrogiego obozu, jeśli ztamtąd nie wychodzi zaczepka.

WŁADYSŁAW. Zaręczam pani, że w taki sposób nie trwoniłem czasu wcale, a w najgorszym razie bardzo mało.

KSIEŻNA. Czy pana dotknęły moje słowa?

WŁADYSŁAW. Zadrasnęły mię boleśnie — czułem, jakoby w nich dźwięczała jakaś przymówka, może podejrzenie, iż do fatalnego żartu mego przyjaciela i ja przyłożyłem rękę.

KSIĘŻNA. Nie podejrzewam pana o nic, do czego sam się nie przyznajesz.

WŁADYSŁAW. Nie wydałem sprawcy zemście obrażonych, bo brzydziłem się rolą donosiociela, do której mię zmuszano. Zresztą pewny jestem, że czyste miał zamiary.

KSIĘŻNA. Być może, iż cały fatalny obrót tej sprawy jest winą nie jego, ale innych czynników, których przewidzieć nie zdołał. Cieszymy się nadzieją, że ten poplątany motek sam się rozplącze i ludzie, co się dziś tak srożą, będą mówić o wszystkim spokojnie, nie żywiąc żalu do nikogo.

WŁADYSŁAW. Ja zejdę im z oczu — droga moja w całkiem różnym idzie kierunku. Dziś przystanąłem na chwilę, to też zaplątałem się na zupełnie obcych dla mnie torach.

KSIĘŻNA (*smutno*). Idź pan, idź swoją drogą i bądź na niej... szczęśliwym. Prawda, panie — drogi nasze z twoją nigdy się już może nie spotkają. Ale zanim rozejdziemy się, wysłuchaj jednej, jedynej prośby mojej — nie zabieraj na dalszą wędrówkę żalu do mnie i do moich — przebacz i jeżeli możesz, zapomnij.

WŁADYSŁAW. Zabiorę z sobą wspomnienie anielskiej chwili; choćbym stokroć więcej doznał przykrości, ono jedno wszystko w mej pamięci nieprzebitą pokryje zasłoną.

KSIEŻNA. Upokarzasz mię pan swą obietnicą. Czuję cały szereg krzywd panu wyrażonych i widzę dobrze, co wobec nich znaczy jedna chwila spełnionego obowiązku. Jesteś pan dumny, niesłychanie dumny — bierzesz grosz zwrotu i kwitujesz z tysiąca długu, a nawet rachunku z tego długu nie żądasz.

WŁADYSŁAW. Do czego pani zmierzasz?

KSIEŻNA. Upokarza mię pańska duma. Odnowiliśmy znajomość naszą, roztrząsaliśmy wiele przedmiotów, ale najważniejszego, najdrażliwszego nie dotknąłeś pan, bo mogłam stanąć przed nim ze spuszczonej okiem i zapłonioną twarzą, jak winowajca przed surowym sędzią.

WŁADYSŁAW. Nie sądziłem cię, pani, i nie będę sądził.

KSIEŻNA. Nie, pan mi musisz powiedzieć wyrok, który na mnie wydałeś w głębi duszy — musisz wysłuchać mego usprawiedliwienia, a może mniej winną ci się wydam, lubo winy mej zapierać się nie będę. Zerwałam z panem...

WŁADYSŁAW. Bom się pani wydał oziębłym i materyalistą; — ciężka dotknęła mię kara

za to, że nie umiałem się lepiej w listach moich tłumaczyć.

KSIEŻNA. Ja to raczej nie umiałam jasnych słów zrozumieć. Wychowanie dało mi wiele, ale nie dało pojęcia obowiązku, zwłaszcza, gdy jawił się nie w laurach bohaterstwa, ale w szarej sukni dnia powszedniego. Za tym błędem poszły wszystkie inne omyłki moje i za karę czyny moje ciężko przeciwko mnie samej świadczyły — a ludzie mogli sądzić, że dla błyskotliwego tytułu rękę i serce sprzedała.

WŁADYSŁAW. Ja cię, pani, nie sądziłem tak nigdy. Byłem pewny, że straciwszy złudzenia co do osobistego szczęścia, będziesz szukać zadowolenia w poświęceniu dla idei, którym hołdowałaś. Gdy dowiedział się o szczegółach małżeństwa, jasno stanęło mi w myśli, że wierząc tak mocno w tradycję, w posłannictwo rodów, weszłaś do upadającego domu, aby stać tam jako filar i jedną świątynię swych bożyszczy od ruiny ocalić. Nie potępiałem cię pani, choć żal ścisnął serce, że ofiara była fałszywą i bezużyteczną.

KSIEŻNA. Nie omyliłeś się pan — prawda — nie byłam ofiarą niskiej rachuby, idyotycznej dumy, ale ofiarą złudnej myśli, o fałszywości której lata doświadczeń przekonywały mnie aż nadto dowodnie. Wiele uczyły i wiele

oduczały mię te lata, a jednak trzymałam się uporczywie mych idei, czując instynktownie, że one są dla mnie deską, rozbitka na powierzchni fal unoszącą. Czy podobna? więc ja mogę oczyścić się w oczach pana?

WŁADYSŁAW. W oczach moich byłaś pani i jesteś czystą, a moja... cześć dla ciebie nie zmniejszy się ani na jotę.

KSIEŻNA. O, jesteś pan szlachetny, masz delikatne, rycerskie uczucie.

WŁADYSŁAW. Czy pani podobne przymioty przypuszcza w demokracji ze krwi i ducha?

KSIEŻNA. W panu widzę je — nie jestem materyalistką, bym wierzyła w krew, ja wierzę w ducha, nie w fizyologiczne przyczyny. Zkądkolwiek płynie szlachetność pańska, przyjmuję ją z uszanowaniem — cenię pana, czczę i... *(zatrzymuje się)*

WŁADYSŁAW. Dokończ pani, nie zatrzymuj się, dla Boga. *(bierze Księżnę za rękę)*

KSIEŻNA. I pójdę za tobą wszędzie — będę wraz z tobą pracować dla wielkich idei, które uwielbię wszędzie, gdziekolwiek znajdę. Precz z uprzedzeniami, przesądami — wszędzie są ludzie, co czozą przeszłość i pracują dla przyszłości.

WŁADYSŁAW *(cisnąc rękę Księżnej do ust)*. O Boże, ożył mogę wierzyć własnym uszom. *(puszcza rękę Księżnej)*

KSIEŻNA. Cóż to jest? cóżeś drgnął tak nagle?

WŁADYSŁAW. Spostrzegłem zdala ludzi, widok których przejął mnie mimowolnie uczuciem niewysłowionej przykrości—zdało mi się, że mię szyderczym przeszywają wzrokiem.

KSIEŻNA (*oglądając się na lewo*). Moja ciotka, synek i przyjaciołki. Może lepiej, że im pan zejdziesz z oczu? (*Władysław odchodzi w głąb—z lewej strony wchodzi Baronowa, Michał, Marszałkowa i Szołeczka*)

SCENA II.

KSIEŻNA, BARONOWA, MICHAŁ, MARSZAŁKOWA
i SZOLECKA.

BARONOWA. *Bon jour, princesse*. Zapewne eksfabrykant prosił cię, abyś się za nim wstawiła do Eugeniusza i przed słuszną zasłoniła go karą.

KSIEŻNA. Zkądże ciocia taki wniosek wyciąga?

BARONOWA. Zkąd? widziałam wyraźnie, jak cię z bardzo pokorną i błagalną miną w rękę całował. Niedarmo ten człowiek tak przed nami uciekał. Fatalnie się złapał.

MARSZAŁKOWA. Zamierzał sobie zadrwić z towarzystwa, ale żart spadł na samego żartownisia.

BARONOWA. Nie rozumiem, czego się temu jegomości chciało. W towarzystwie, do którego nie kwalifikował się ani z urodzenia, ani ze stanowiska, przyjmowano go grzecznie—on widocznie hołdów oczekiwał.

MICHAŁ. Dziwię się mocno, że ten człowiek ma tyle śmiałości i siedzi tu jeszcze. Ja na jego miejscu byłbym uciekł, nie czekając chwili.

SZOŁECKA. Ma pan baron słuszność — po co on się tu jeszcze kręci?

KSIĘŻNA. Państwo łaskawi, co wam pan Bratanicz uczynił?

BARONOWA. Ah, *chère princesse*—nam właściwie nic — w każdym jednak razie nie popisał się wcale.

MARSZAŁKOWA. Wysadził się na koncept, godny twórcy komunizmu — restauratora zrobił księciem i zamierzał się naśmiać z tego *qui pro quo*. Złapano go na gorącym uczynku, wyzвано na pojedynek, a *ce mauvais sujet* zdobył się na drugi jeszcze lepszy koncept i denuncyował przeciwnika.

BARONOWA. *Quelle lâcheté! quel manque de courage!*

MICHAŁ. Już jeżeli się tak głupio poplątał, powinien był albo uciec, albo choć w końcu stanąć śmiało, byłby może wyszedł z honorem.

KSIEŻNA. Zkąd państwo wiedzą, że pan Bratanicz uciekł się do policyi?

BARONOWA. *Mais c'est naturel* — to z toku rzeczy wypada. To samo powiadał nam pułkownik, zaręczając, że wie o wszystkim z wiarogodnego źródła.

MARSZAŁKOWA. Pułkownik mówił nadto, że wskutek intrygi tego jegomości hrabia Zakisznicki musiał śpiesznie wyjeżdżać.

BARONOWA. *Ce pauvre Comte*—jaka szkoda tego miłego człowieka.

KSIEŻNA. Jako? ciocia pogodziłaś się z Zakisznickim?

BARONOWA. *Mais naturellement*, to było tylko nieporozumienie. Hrabia nie miał nigdy żadnej zawziętości do *Michela*, a właściwie szło o pojednanie mnie z panią marszałkową. *Chère amie*, wszak prawda?

MARSZAŁKOWA. Rzeczywiście — wypadek ów dał mi pożądaną sposobność okazania, jak cenię i ceniłam zawsze panią baronową.

KSIEŻNA. A upojenie Michała? ogranie w karty?

BARONOWA. Czyż można mieć pretensję do hrabiego, że *Michel* ma słabą głowę i szczęście przy kartach mu nie sprzyja.

MICHAŁ. Rzeczywiście mam słabą głowę i szczęście przy kartach mi nie sprzyja.

BARONOWA. Hrabia jest odważny i honorowy—dał tego dowód, tymczasem fabrykant

okazał się tchórzem. Mówiłam ci, *princesse*, że przeląkł się pojedynku z hrabią, kiedym mu o nim napomknęła. Oh, taki człowiek zdolny do wszystkiego.

KSIEŻNA. Pana Bratanicza znam nie od dzisiaj i pewna jestem, że właśnie nie jest zdolnym ani do jednej rzeczy, których mu tyle zarzucacie. By tak źle mówić o człowieku, trzeba mieć w ręku silne dowody. Zarzucać komuś denuncyację na podstawie samych tylko domysłów—to niegodne!

BARONOWA. Ależ to nie same tylko domysły — pułkownik mówił, że to rzecz pewna. Nieprawdaż pani?

SZOŁECKA. MARSZAŁKOWA. *Oui, oui madame.*

KSIEŻNA. A jakimi dowodami popiera pułkownik swoje mniemanie?

SZOŁECKA. Księżna sądzi, że po raz pierwszy dopiero coś podobnego owemu panu się przytrafia. Owszem, ma on już pod tym względem ustaloną reputację. O jednej nawet jego denuncyacji gazety pisały.

KSIEŻNA. Co pani powiadasz?

SZOŁECKA. Właśnie te gazety mam u siebie, może księżna zechce zobaczyć?

KSIEŻNA. Jestem przekonana, że albo pani nie rozumiesz tego, co czytasz, albo sama nie wiesz, co mówisz.

SZOŁECKA Przepraszam najmocniej, ale ja gazety te sama księżnie przyniosę, żeby dowieść, iż rozumiem, co czytam i wiem co mówię. Tam wyraźnie stoi napisane, że ten pan denuncyował fabrykę, w której dostał dymisyę.

KSIĘŻNA. Radzę pani jeszcze raz te gazety uważnie sobie odczytać. *(wychodzi w głąb)*

SCENA III.

CIŻ, prócz KSIĘŻNEJ.

BARONOWA. Cóż to się stało księżnej? — Odeszła rozgniewana.

MARSZAŁKOWA. Nie rozumiem, co ją chemik tak mocno obchodzi, że staje w jego obronie.

SZOŁECKA. Ja księżnie muszę pokazać te gazety, tam wyraźnie o denuncyacyi mowa. Księżna musi przekonać się, iż ja rozumiem, co czytam i wiem co mówię. *(z lewej strony wchodzi Eugeniusz)*

SCENA IV.

CIŻ i EUGENIUSZ.

BARONOWA. Ah, *mon neveu*. Bogu dzięki, że cię już uwolniono!

MARSZAŁKOWA. Jakże się cieszę, panie Eugeniuszu. *(podaje mu rękę)*

EUGENIUSZ. Musiałem złożyć deklaracyę, że się już tutaj z nikim pojedynkować nie będę.

MICHAŁ. *Voyez*, fabrykant dopiął swego.
EUGENIUSZ. Czego dopiął?

BARONOWA. Tego, że pojedynku już nie będzie, bo przecież szło mu o to, kiedy denuncyował ciebie.

EUGENIUSZ. Więo i państwo sądzicie, że on sam zawiadomił policyę. Ja się także tego domyślałem.

MARSZAŁKOWA. To nie ulega najmniejszej wątpliwości—pułkownik, co nam tę historię opowiadał, zaręcza, że wie o tem z bardzo pewnego źródła.

EUGENIUSZ. Ha, fabrykant wywijał się zręcznie, ale każda sztuka tylko do czasu uchodzi.

BARONOWA. Musi on czuć dobrze, iż sprawa jego śliska, bo się pod opiekę księżnej oddawał.

MARSZAŁKOWA. Księżna ma dobre serce, gotowa się za nim ujmować.

SZOŁECKA. Już się nawet ujmuje, nie chciała wierzyć, że ja na własne oczy w gazetach o nim czytała. Ale ja księżnie to sama pokażę, bo ja rozumiem, co czytam i wiem, co mówię. Idę po gazety.

MARSZAŁKOWA. Pójdziemy z panią. Musimy księżnę przekonać, że to denuncyant.
(*Marszałkowa, Baronowa, Michał, Szotecka, wychodzą na lewo*)

SCENA V.

EUGENIUSZ, (później) WŁADYSŁAW.

EUGENIUSZ. Sądziłem, że ten człowiek niezwłocznie wyjedzie, nie czekając rozwiązania. Ale widocznie plan dobrze ukartował i pewny jest tryumfu. (*z prawej strony wchodzi Władysław*)

WŁADYSŁAW. Panie, los nie dozwolił, byśmy się ze sobą w śmiertelnym boju ścierali.

EUGENIUSZ. Los, mój panie, zrządził tak, jakeśmy sami nim pokierowali; nie zwalajmy więc nań tego, co było naszych własnych pragnień wynikiem.

WŁADYSŁAW. Nie przeczę, że z najwyższą niechęcią przyjmowałem walkę i wdzięczy jestem losowi, że nam jej oszczędził. Teraz pragnę tylko pojednania i puszczenia wszystkiego, co zaszło, w niepamięć.

EUGENIUSZ. To jest ostatecznego pańskiego tryumfu, a mego ostatecznego pognębienia.

WŁADYSŁAW. Bynajmniej, chcę zgody, zarówno zaszczytnej dla nas obydwóch.

EUGENIUSZ. Panie, jesteśmy tylko we dwóch — nie ma między nami świadka, na którego możnaby złożyć winę własnej zdrady, chcę mówić z panem otwarcie.

WŁADYSŁAW. Tego tylko sobie życzę.

EUGENIUSZ. Usunąłeś mię pan w stosownej chwili, podobnie jak i drugiego przeciwnika, spokojnie i bezpiecznie poszedłeś na plac boju, czekając na tych, o których wiedziałeś, że nie przyjdą — honor i tryumf tobie przypadły w udziale, nam dostał się wstyd i hańba — teraz szydzisz chyba, gdy rękę do zgody podajesz.

WŁADYSŁAW. Ze słów pańskich widzę, że mię podejrzewasz, jakobym użył ramienia policyi, aby pana do pojedynku nie dopuścić.

EUGENIUSZ. Nie podejrzewam — ja nie wątpię o tem.

WŁADYSŁAW. A jeśli panu zaręczę honorem — słowem uczciwości, że się mylisz?

EUGENIUSZ. Jestem niedowiarek — wolę wierzyć temu, co mi jest jasnym i zrozumiałym, niżeli temu, czego pojąć nie mogę.

WŁADYSŁAW. Zły duch, wrogi nam obydwom, chce widocznie, byśmy koniecznie starli się ze sobą i jeden z nas tę smutną sprawę życiem przypieczętował.

EUGENIUSZ. Czy pan gotów jesteś przyjąć nowy pojedynek?

WŁADYSŁAW. Nie teraz i nie tutaj, wszak nas obowiązuje deklaracya w urzędzie złożona.

EUGENIUSZ (*z ironią*). Jesteś pan bardzo skrupulatnym. Ale nic nie przeszkadza nam zejść się w innem miejscu, za tydzień, miesiąc. Czy przyjmujesz pan pojedynek?

WŁADYSŁAW. Więc pan nie chcesz zastanowić się nad tem, co czynisz — więc nie ustąpisz, choćbyś wiedział, że zburzysz najpiękniejszą losu budowę, która z gruzów nigdy się nie odnowi?

EUGENIUSZ. Ustąpić nie mogę. Czy przyjmiesz pan pojedynek?

WŁADYSŁAW. Zmuszasz mię pan. Przyjmując pańskie wyzwanie, natychmiast te miejsca opuszczam. Pojadę wprost do Krakowa, tam będę czekał listu, w którym oznaczysz mi pan czas i miejsce.

EUGENIUSZ. Zobaczymy, czy pan staniesz. W każdym razie zaden ci się już wykręt nie uda.

WŁADYSŁAW. Jeszcze raz proszę pana o chwilkę zastanowienia. Najświętszem słowem zaręczam, że zaślepienie twe, panie, zachodzi za daleko, — że nieoględnie i nielitościwie burzysz więcej, niżli się spodziewasz. Jeśli pan nie cofniesz swego wyzwania, ja muszę odjechać, muszę zerwać na nowo zawiązany stosunek z pańską siostrą. Zastanów się, co ona powie na mój wyjazd i na dalsze skutki.

EUGENIUSZ. I tu potrafiłeś pan dopiąć swego. Lecz darmo, nie będziesz tryumfował ni nade mną, ni nad nią.

WŁADYSŁAW. Do widzenia więc w czasie i miejscu, które pan sam oznaczysz. (*wychodzi na prawo*)

SCENA VI.

EUGENIUSZ, (później) KOMISARZ.

EUGENIUSZ. Jest jakieś fatum, jakaś ananke, która płacze, maści, gmatwa wszystkie życia ludzkiego nici, że w końcu nieszczęśliwym pozostaje tylko rozplatać węzeł mieczem Aleksandra, choćby przytem mieli przeciąć nić własnego istnienia. (*z lewej strony wchodzi Komisarz*)

KOMISARZ. Na posztie odewzdali mi list do pana grafa — no, ale nyni ne znam przyczinu ho arrestirowt. (*oddaje list Eugeniuszowi*).

EUGENIUSZ. Dziękuję. Panie Komisarzu, nie mógłbyś mi jednej grzeczności wyświadczyć.

KOMISARZ. *Ergebenster Diener, Herr Graf.*

EUGENIUSZ. Teraz, gdy już wszystko skończone, możesz mi śmiało powiedzieć, kto doniósł o zamiarze pojedynku.

KOMISARZ. O ne, ne, to ja ne mohu powiedet, my musime skrywat mena denunciantów, a to nam nigdo *denuncirowat* nic ne bude.

EUGENIUSZ. Właściwie nazwisko denuncyanta nie jest dla mnie tajemnicą, ale chciałbym usłyszeć potwierdzenie z ust samego pana. Wszystko mi aż nadto wskazuje, że zdradzić mię musiał przeciwnik, pan Bratanicz, zresztą tak utrzymuje pułkownik Szpelung.

KOMISARZ. Plukownik? To plukownik lże nestydatie—on sam był denunciant.

EUGENIUSZ. Co pan mówisz?

KOMISARZ. Ano—gdyż sem rzekł, ne budu brał nazpriet — to był plukownik — on sam był u mnie i wszecko o *duellu* prozradil.

EUGENIUSZ. Ależ to niepodobna?

KOMISARZ. Plukownik, plukownik! On jest takowy plukownik, jako ja general. Plukownik je ten, co plukiem komanduje, a ten chlap jako żyw u wojska nie był.

EUGENIUSZ. Czy pan dawno zna pana Szpelunga?

KOMISARZ. Dwacet let co nejmiń. Sakramente, to był wždy zuch przy zelenem stoliku. Miel on dzierzawu, ale czerta se mu chtielo gospodarowat. Jeden weczter przy kartach nesł mu wio, než cely rok na polu.

EUGENIUSZ. Znałeś pan także hrabiego Zakisznickiego?

KOMISARZ. Ho, ho, jesztie tehda, gdy ho nigdo grafem nie mienowal. To je także do-bri szuler. Ha, ha, plukownik,—graf,—taki ten graf, jako tamten plukownik. *Ihr Diener, Herr Graf. (wychodzi)*

SCENA VII.

EUGENIUSZ (*sam*).

Czy to może być prawdą? (*otwiera list i czyta*) „Lubo, jak się spodziewam, figiel

który Zakisznickiemu z tym księcio-kucharzem wyrządziłem, dostatecznie jego blagę i bezczelność wyjaśni, jednakże czuję się w obowiązku dodać kilka szczegółów, o których dowiedziałem się obecnie. Zakisznicki i Szpelung znani są, jako mistrze w grze karcianej, co położyli sobie za zadanie wciśkać się pomiędzy zamożniejszą młodzież i ogrywać ją. — Zakisznicki działa na wyobraźnię przybranym tytułem i blagą o swych stosunkach i podróżach; w rzeczywistości zna tylko ruletę Homburską, na której stracił cały majątek, uczciwie przez ojca zapracowany. Szpelung blaguje marsową miną i niby pułkownikostwem. Czeka ich niezadługo smutny koniec, bo już w niejednym miejscu na nich się poznano! — Julian Olchowski". Przekłeta, stokroć przekłeta fatalność! Wiem już teraz sprawcę żartu, znam aktorów komedyi — wyjaśniło się wszystko doskonale, — ale w jakimż ja stanąłem świetle? Z przebiegłych, zuchwałych łotrów spada maska, a ja stoję przed światem jako ich przyjaciel, obrońca, współnik niemal. Po takim odkryciu pozostawałoby tylko w łeb palnąć sobie, gdyby nie to, że jeszcze żywy stanąć muszę do honorowej rozprawy. — Czy muszę? — powinienem? — Tak jest, powinienem. Tam na placu pochowano mój honor i jeżeli go nie wskrzeszę,

to przynajmniej salwy pogrzebowe mu się należą. Ha, wyobrażam sobie z jaką wewnętrzną rozkoszą plac ostrzeliwał — mnie mógł chybić, ale honor mój trafił w samo serce. *(z głębi wchodzi Księżna, Marszałkowa, Baronowa, Michał i Szolecka)*

SCENA VIII.

EUGENIUSZ, KSIĘŻNA, MARSZAŁKOWĄ, BARONOWĄ, MICHAŁ i SZOLECKA.

KSIĘŻNA. Ale dajcież mi państwo pokój — znam całą sprawę doskonale. Bogu dzięki, Eugeniuszu, żeś wrócił — nieprawdaż? już się pojedynekować nie będziesz! Wyobraż sobie, ci państwo chcą mię koniecznie przekonać, że pan Bratanicz denuncyował ciebie. *(siada na ławce)*

SZOLECKA. Mamy na to dowody w ręku, ale księżna słuchać nie chce.

EUGENIUSZ. Nie potrzeba już dowodów, wszystko się wyjaśniło.

MARSZAŁKOWA. Widzi księżna — niech brat sam zaświadczy.

BARONOWA. Pułkownik, brat twój, wszyscy to utrzymują.

EUGENIUSZ. Bratanicz jest niewinny, całą historię uknuł pułkownik z hrabią.

MARSZAŁKOWA. *Impossible!*

SZOLECKA. To być nie może!

BARONOWA. Jakżeż można posądzać ludzi tak honorowych?

MICHAŁ. Ludzi pełnych honoru i odwagi.

MARSZAŁKOWA. Jest to niezawodnie nowa facecyja eksfabrykanta—nie dajcież się państwo wywieść w pole temu przebiegłemu intrygantowi.

EUGENIUSZ (*nie zważając na nich, siada obok księżnej na ławce*). Fatum jakieś nieubłagane nas ściga. Wyjaśnienie przyszło za późno, wszystko tak się poplątało, że pojedynek między mną a Brataniczem jest nieuniknionym.

KSIĘŻNA. Czyś oszalał, Eugeniuszu?

EUGENIUSZ. Oh, tu można oszaleć. Wiedzieć, że ten człowiek pod każdym względem jest niewinny i nie móżdż wprzód podać mu ręki, póki strzał pistoletowy nie rozetnie węzła...

KSIĘŻNA. Ależ na Boga, po cóż ta konieczność?

EUGENIUSZ. Inaczej na honorze moim zostanie plama, której nic nie zatrze.

KSIĘŻNA. Wytłomacz się jaśniej.

EUGENIUSZ. Pomyśl sama.—Wyzwałem go na pojedynek, słusznie — czy niesłusznie, już darmo rozbierać. — On staje na placu, czeka i doczekać się nie może. Świat nie będzie się silił na rozplątanie zawikłanego motka intrygi, przyjmie fakt takim, jakim

się przedstawia: nie dotrzymał słowa, plac ostrzelano — i nazwa tchórza i nikoziemnika przylgnie do mego imienia.

MARSZAŁKOWA. *C'est vrai, monsieur Eugène*: drugi pojedynek jest konieczny.

KSIĘŻNA. Zkąd wiesz, że plac został ostrzelany?

EUGENIUSZ. Czyż mogło być inaczej?

KSIĘŻNA. A jeśli było inaczej?

EUGENIUSZ. Ty tego wiedzieć nie możesz.

KSIĘŻNA. Owszem, wiem — bo tam byłam.

EUGENIUSZ. Jakto?

MARSZAŁKOWA (*do Baronowej*). *C'est curieux!* Ona tam była! *Voyez, chère amie.* (*Baronowa i Szołecka wzruszają ramionami. Michał przyśluchuje się z rozwartymi ustami*).

KSIĘŻNA. Byłam umyślnie, by was od krwi rozlewu powstrzymać, bo... bo obadwaj zarówno jesteście mi drodzy.

MARSZAŁKOWA. *Voilà le mot de l'enigme.*

SZOŁECKA (*do Baronowej*). Śliczna historia!

BARONOWA. *Que faire, madame?*

KSIĘŻNA. Zastałam już pana Bratanicza na placu, czekał na pierwszego przeciwnika, Zakisznickiego, ale ten nie przybywał. Pół godziny upłynęło — p. Bratanicz strzelił na żądanie sekundantów. Przyszła kolej na ciebie, Eugeniuszu, ale i ty nie stawaleś. Czekano blisko godzinę, poczem sekundanci

oświadczyli, że p. Bratanicz może korzystać z należnego sobie prawa. — Nie, mówił, jestem przekonany że p. Miłański nie stanął jedynie dla jakiejś ważnej a niespodziewanej przeszkody,—uważałem go zawsze i uważam za człowieka honorowego i uwłaczać czoł jego nie mogę.

EUGENIUSZ. Boże! cóż za szlachetność!

KSIĘŻNA. Czy po tem wszystkiem jeszcze myślisz się z nim pojedynkować?

EUGENIUSZ. Nigdy—wobec całego świata będę go prosił o przebaczenie. Ah, jakem niesprawiedliwie z nim postępował, jak wy-
rządzałem mu krzywdę za krzywdą. Mówił, że natychmiast wyjedzie. (*patrzy na prawo*)
Przed jego mieszkaniem stoi już wózek go-
ralski. (*wybiega na prawo*)

SCENA IX.

CIŻ prócz EUGENIUSZA.

BARONOWA. Co się jemu stało?

MARZAŁKOWA. Żal mi bardzo księżnej, że może stać się ofiarą intrygi. Eksfabrykant bardzo zręcznie sprawę pogmatwał.

SZOŁECKA. Niech księżna koniecznie przeczyta te gazety, dopiero wtedy będzie mogła wydać sąd, czy ja rozumiem, co czytam i czy wiem, co mówię.

BARONOWA. *Ma nièce*, byłaś niegrzeczną dla pani Szołeckiej—masz obowiązek przekonania się, żeś jej niewłaściwie ubliżyła.

KSIEŻNA. Czegóż państwo chcą? Znam całą tę sprawę i wiem jak szlachetnie, jak uczciwie sobie w niej pan Bratanicz postąpił. Dziś go tysiące ludzi za to błogosławi.

SZOŁECKA. Ależ to chyba nie to.

MARSZAŁKOWA. Ja sama wyraźnie czytałam, że to była denuncyacya.

BARONOWA. Rzeczywiście, *princesse*, denuncyował własną fabrykę. *(z prawej strony wchodzi Eugeniusz i Władysław, z torbą podróżną, przewieszoną przez ramię)*

SCENA X.

CIŻ, EUGENIUSZ i WŁADYSŁAW.

EUGENIUSZ. Wracam ci go, siostró. O mało zaślepienie moje nie oddaliło go od nas na zawsze.

KSIEŻNA. I pan chciałeś wyjechać? chciałeś mię opuścić?

EUGENIUSZ. Zmuszałem go do tego z zaciekleścią, jaką daje ostateczne tylko zaślepienie. Nie dotykajmy już przeszłości — obyśmy o niej jak najprędzej zapomnieć zdołali. Dotąd szedłem przez życie jak szalenciec potracając i znieważając zacnych i uczciwych, a łotrom oddając na pastwę moją przyjaźń, sławę i majątek ojczysty. Byłbym stós mych szaleństw przypieczętował najokropniejszym z nich, — byłbym poświęcił honor, a może nawet życie moje na

okupienie od wstydu tych, co na pręgierz publiczny zasłużyli.

KSIEŻNA. Nie nauczono cię, biedny mój bracie, pracy i pełnienia obowiązków. Ja niewiele byłam lepszą od ciebie — ale dziś oboje pójdziemy za człowiekiem, który nas nauczy pracy, obowiązku i prawdziwej szlachetności.

WŁADYSŁAW. Ostatnia, najcięższa moja próba skończyła się szczęśliwie. To, co mię w tej chwili spotyka, wynagradza mi wszystko sownie.

KSIEŻNA. Teraz już nie wyjedziesz, a raczej wyjedziesz razem z nami. Państwo, przedstawiam wam mego narzeczonego — przebaczoście, że nie mogę was zadowolnić i uwierzyć w zarzuty, jakimi go tak łaskawie obsypujecie. Żegnamy państwa. (*Władysław z Księżną pod rękę wychodzą na lewo*)

MARSZAŁKOWA (*do Eugeniusza*). Panie Eugeniuszu, zastanów się, czy powinieneś pozwolić, aby intrygant w taki sposób tryumfował.

EUGENIUSZ. Zadaniem kobiety jest łagodzić i jednać, a nie burzyć i podniecać. Już raz, pani, z drobnych rzeczy pod twoim podmuchem niebezpieczny pożar wybuchnął, nie chciejże rozdmuchiwać zgasłego już prawie zarzewia. (*ktania się i wychodzi na lewo*)

SCENA XI.

MARSZAŁKOWA, BARONOWA, MICHAŁ i SZOŁECKA.

MARSZAŁKOWA. *Qu'est ce que ça?* On z pre-
tensją do mnie wyjeżdża. Czysty kandydat
do Bonifratrów!

SZOŁECKA. Co robić z ludźmi, co nawet
słuchać nie chcą? (*wzrusza ramionami*).

BARONOWA. *Mon Dieu*, ona gotowa napra-
wdę wyjść za niego. Narzeczonym go na-
zwała.

MARSZAŁKOWA. Ładna będzie przemiana
tytułów—księżna zostaje eksfabrykantową,
miejmy nadzieję, że z czasem na maszyni-
scinę awansuje.

MICHAŁ. *Parole d'honneur!* choćbym się miał
strzelać z chemikiem, nigdy go kuzynem
nazywać nie będę!

KONIEC.

INSTYTUT
LITERACKI PAN
Biblioteka
Nowy Świat Nr 72
00-30 Warszawa
26-08-63, 26-52-31 w. 42



<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

F
973